



Harlequin® *Romans*®

*Diana Palmer* *Nieujarzmiony*

NIP 5 05/11 INDEKS 360325 CENA 6,99 ZŁ W TYM 3,96 VAT

Diana Palmer  
*Nieujarzmiony*

*Romans*

1058

**Diana Palmer**

*Nieujarzmiony*

*Doktor Bentley Rydel jest właścicielem kliniki weterynaryjnej, w której odbywa się nieustanna rotacja personelu. Szef kocha zwierzęta i jest gotów nosić je na rękach, wobec ludzi jednak jest bezwzględny. Żyje według własnych zasad, unika bliższych znajomości. Pewnego dnia w jego uporządkowane życie wkracza pełna temperamentu, młodzieńca Cappie Drake. Cappie próbuje dociec, dlaczego Bentley nieustannie chodzi wściekły. Nieoczekiwanie budzi się w niej sympatia do tego posepnego samotnika. On jednak uparcie zachowuje dystans...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cappie Drake wsunęła głowę za drzwi i rozejrzała się wokoło. Szukała szefa, doktora Bentleya Rydela, który od kilku dni wyładowywał na niej złość. Czy dlatego, że pracowała w klinice najkrócej?

– Wyszedł na lunch.

Cappie podskoczyła. Za nią stała uśmiechnięta szeroko dziesiętnastoletnia Keely Welsh Sinclair, która niedawno poślubiła bogatego przystojniaka, Boone'a Sinclair, lecz z powodu ogromnej miłości do zwierząt postanowiła nie rezygnować z pracy.

– Zgubiłam kwit nadania leków. Wiem, że gdzieś tu jest, ale szef zaczął na mnie krzyczeć i wszystko leciało mi z rąk...

– Nastąpiła jesień – oznajmiła filozoficznie Keely.

– Słucham?

– Jesień – powtórzyła Keely, a widząc oczy Cappie, wyjaśniła: – Jesienią doktor Rydel szybciej się irytuje. Czasem bez słowa wyjeżdża na tydzień. Kiedy wraca, nikomu nie mówi, gdzie był.

– Doktor King wspomniała, że jestem piątym technikiem weterynaryjnym, jakiego Rydel zatrudnił w tym roku. Poprzednich czterech długo nie wytrzymało.

– Kiedy szef się nakręca, trzeba się uśmiechnąć. Albo warknąć.

– Nie umiem warczeć.

– Naucz się. Bo inaczej...

– Do jasnej cholery, gdzie mój płaszcz?

Na twarzy Cappie odmalowało się przerażenie.

– Mówiłaś, że poszedł na lunch!

– Najwyraźniej już wrócił – odparła Keely, zaciskając zęby, gdy doktor Rydel wpadł jak burza do poczekalni, w której siedziały dwie zgorszone staruszki.

Bentley Rydel miał co najmniej metr osiemdziesiąt

pięć wzrostu, niebieskie oczy, które wgniewie przybierały odcień stali, gęste czarne włosy, zwykle potargane, bo przeczesywał je palcami, duże stopy, wielkie dłonie i nos, który na skutek złamania nadawał twarzy posępny wyraz. Nie odznaczał się konwencjonalną urodą, ale wielu kobietom się podobał. One jemu nie. W całym okręgu Jacobs w stanie Teksas trudno byłoby znaleźć większego mizogina od Bentleya Rydela.

– Gdziemój prochowiec? – Popatrzył z furią na Cappie, jakby to była jej wina, że wyszedł bez płaszcza na deszcz. Cappie wzięła głęboki oddech.

– Wszafie, panie doktorze. Tam go pan zostawił. Korciło ją, by coś dodać, ale uznała, że lepiej milczeć, bo a nuż straci pracę? Nagle zauważyła, że Bentley dziwnie się jej przygląda. Zazwyczaj nosiła włosy upięte lub związane, teraz kilka długich jasnych kosmyków wysunęło się spod opaski.

Keely uśmiechnęła się do staruszek, które z zafascynowaniem przyglądały się tej scenie.

– Pani Ross, zapraszam panią z Luvvy do zabiegowego. Zrobimy kotce zastrzyk.

Drobna staruszka wstała z ociąganiem – nie chciała tracić przedstawienia! – i ciągnąc za sobą transporter na kółkach, oddaliła się korytarzem.

- Doktorze Rydel? – spytała cicho Cappie, czując na sobie natarczywy wzrok.
- Mężczyzna skrzywił się.
- Leje jak z cebra.
- To nie moja wina. Nie odpowiadam za pogodę.
- Ha! – Otworzywszy szafę, chwycił płaszcz i ruszył do drzwi.
- A żebyś przemókł do nitki! – mruknęła pod nosem Cappie.
- Słyszałem! – zawołał.
- Oblewając się rumieńcem, Cappie przeszła za kontuar; starała się nie patrzeć na Gladys Hawkins, która trzęsła się ze śmiechu.
- Nie przejmuj się. – Doktor King, która od lat współpracowała z Bentleyem Rydelem, poklepała Cappie po ramieniu. – Doskonale sobie radzisz. Twoja poprzedniczka Antonia dwa razy dziennie wybuchała płaczem i nigdy nie odszczeknęła się szefowi.
- Nie rozumiem tego. Większość weterynarzy to mili ludzie, którzy nie wrzeszczą na personel. A personel nie wrzeszczy...
- Wrzeszczy, wrzeszczy – wtrąciła ze śmiechem Keely.
- Ostatnio mój mąż stwierdził, że jestem tylko psim fryzjerem. No i dostało mu się.
- Bardzo słusznie – poparła ją doktor King – bo nasi fryzjerzy nie tylko strzygą. Oni cały czas bacznie obserwują zwierzęta. Uratowali niejedno psie lub kocie życie.
- Przystojny ten twój mąż – rzekła nieśmiało Cappie.
- Owszem, ale też uparty jak osioł i wybuchowy.
- Pewnie niełatwo takiego okiełznać? – spytała doktor King.
- On to nic w porównaniu z Bentleyem.
- Oj, tak. Współczuję tej, która się w nim zakocha.

– Ja, chwalić Boga, jestem szczęśliwą mężatką – stwierdziła ze śmiechem Keely.

– Ciebie akurat doktor Rydel lubi.

– Traktuje mnie jak dziecko. – Keely zamilkła. Pomyślała o swojej matce, którą zabił przyjaciel ojca.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – szepnęła Cappie.

– Dopiero zaczynałyśmy się poznawać... Mój ojciec dostał stosunkowo łagodny wyrok, ale nie sądzę, żeby po odsiadce wrócił w te strony. Za bardzo boi się szeryfa Hayesa.

Cappie pokiwała głową.

– Ten to mi imponuje. Przystojny, odważny...

– Samobójca.

– Słucham?

– Ciągłe pcha się w ogień walki – wyjaśniła doktor King. – Dwa razy cudem uniknął śmierci.

– Nie ma chwały bez ryzyka – skwitowała Cappie. Kobiety roześmiały się. Po chwili zadzwonił telefon, do kliniki wszedł kolejny klient.

Późno dotarła do domu. Był piątek, poczekalnia nie pustoszała. Nikt nie wyszedł z pracy przed wpół do siódmej, nawet Keely, która kilka godzin spędziła na myciu i czesaniu husky. Doktor Rydel jak zwykle warczał na wszystkich, zwłaszcza na Cappie, jakby to ona była odpowiedzialna za niekończący się strumień pacjentów.

– Cappie, to ty? – zawołał z sypialni męski głos.

– Tak, Kell!

Rzuciwszy na krzesło torebkę i płaszcz, weszła do małego pokoju, w którym jej starszy brat leżał z laptopem na zawalonym książkami łóżku.

– Ciężki dzień? – spytała, siadając obok na materacu.

Skinął głową. Twarz miał napiętą od bólu, który doku-

czał mu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kell był dziennikarzem. Przebywając służbowo za granicą, uległ wypadkowi. Odłamek pocisku utknął w jego kręgosłupie. Kell został sparaliżowany od pasa w dół. Lekarze bali się go operować; powiedzieli, że może z czasem szrapnel przesunie się, wtedy operacja będzie możliwa. A do tego czasu...

Najdziwniejsze było to, że redakcja go nie ubezpieczyła. I że on sam nie uznał za stosowne podać pracodawcy do sądu. Wcześniej kilka lat spędził w wojsku, później zatrudnił się w gazecie. Doskonale zarabiał. Kiedy Cappie wspomniała o tym znajomemu, ten się zdziwił: większość dziennikarzy cienko przedzie. Dziś, po opłaceniu rachunków za leczenie, z oszczędności Kella niewiele zostało. Żyli głównie z jej zarobków, a te starczały na żywność i opłaty.

– Wziąłeś leki przeciwbólowe?

Potwierdził.

– Nie pomogły?

– Nie bardzo. – Zmusił się do uśmiechu. Był wysokim, przystojnym facetem o krótkich gęstych włosach, jeszcze jaśniejszych od włosów siostry, i pięknych srebrzystych oczach. Niestety, od czasu wypadku poruszał się na wózku.

– Kiedyś cię zoperują.

– Oby zdążyli, zanim umrę ze starości.

– Och, przestań – skarciła go. – Nie wolno tracić nadziei.

Zjesz coś?

– Nie, nie jestem głodny.

– Mogłabym ugotować zupę kukurydzianą.

Przyjrzał się jej z powagą w oczach.

– Tylko ci przeszkadzam, Cappie. Istnieje mnóstwo domów dla byłych żołnierzy, w których mógłbym...

– Nie! – zaprotestowała.

– To nie w porządku. Mając mnie na karku, nigdy nie znajdziesz męża.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Zrezygnowałaś z pracy, żeby przenieść się tu ze mną. Gdyby nasz kuzyn nie zapisał nam w spadku tego domu, nawet nie mielibyśmy gdzie mieszkać.

– Nie dramatyzuj! Jesteś moim bratem. I na pewno nie pozbędę się ciebie, żeby prowadzić bujne życie towarzyskie. Zresztą, jak wiesz, mężczyźni nie bardzo mnie interesują. Zacisnął zęby.

– Tak, wiem. Ten skurwiel mógł cię zabić! Gdybym nie nalegał, ty byś nawet nie wniosła oskarżenia.

Odwróciła wzrok. Frank Bartlett, jedyny chłopak, jakiego miała w życiu, pod wpływem alkoholu przeistaczał się w furiata. Za pierwszym razem złapał ją za ramię tak mocno, że zostały jej na ciele fioletowe siniaki. Kell radził siostrze, by z nim zerwała, ale ona, zakochana, zaczęła usprawiedliwiać Franka: że to niechcący, że przecież nic się nie stało. Kell wiedział swoje, ale nie zdołał siostry przekonać.

Na czwartej randce Frank zabrał ją do baru, gdzie wypił kilka drinków. Kiedy delikatnie zasugerowała, aby więcej nie pił, wyciągnął ją na zewnątrz i zaczął tłuc. Na pomoc przybiegli inni goście. Jeden z nich odwiózł ją do domu. Frank zjawił się po paru dniach skruszony i błagał, by mu dała jeszcze jedną szansę. Kell zdecydowanie się sprzeciwił, ale Cappie znów nie posłuchała brata.

Któregoś dnia, oglądając z Frankiem film, poruszyła temat jego picia. Frank wpadł w szal; rzucił się na nią z pięściami. Kell przyjechał na wózku do salonu i podstawą lampy huknął Franka w głowę. Oszołomionej Cap-



pie polecił związać draniowi ręce na plecach, sam zaś chwycił telefon i wezwał policję. Cappie trafiła do szpitala, Frank do aresztu.

Ze złamaną ręką złożyła w sądzie zeznania. Wyrok, jaki zapadł, nie był zbyt wysoki. Pół roku więzienia, rok kurateli sądowej. Frank poprzysiągł zemstę. Kell potraktował jego słowa znacznie poważniej niż Cappie.

Mieli dalekiego kuzyna, który mieszkał w Comanche Wells, tuż przy Jacobsville w Teksasie. Kuzyn zmarł ponad rok temu, ale sprawa spadkowa się przeciągała. Wreszcie trzy miesiące temu nadszedł list z informacją, że rodzeństwo Drake'ów odziedziczyło mały dom z mikroskopijnym ogródkiem. Z początku Cappie nie bardzo chciała wyjeżdżać z San Antonio, ale Kell się uparł. W pobliżu Jacobsville miał kumpla, który znał miejscowego weterynarza. Cappie mogłaby tam dostać pracę jako technik. Zgodziła się.

Nie zapomniała o Franku. Był jej pierwszą miłością. Na szczęście dla niej ich związek ograniczał się do pocałunków i pieszczot, choć Frankowi zależało na większej intymności. Cappie jednak zdecydowanie odmówiła; miała niezłomne zasady moralne. Frank był niepokieszony. Twierdził, że pije przez nią; jest sfrustrowany, seksualnie niewyżyty...

Potem Cappie dowiedziała się, że kilka jej koleżanek również miało agresywnych chłopaków. Jedne zakończyły związki i uwolniły się od brutalni. Inne ze strachu nie potrafiły odejść. Zrozumiała wtedy, jak pozory mylą. Nie sposób poznać po wyglądzie, jak mężczyzna się zachowa, kiedy będzie z kobietą sam na sam. Bentley Rydel przynajmniej nie ukrywał swojego paskudnego charakteru.

– O czym myślisz? – spytał Kell.

– O moim szefie. To potwór. Przeraza mnie.

Kell zmarszczył brwi.

– Przypomina Franka Bartletta?

– Och, nie! Nie wierzę, żeby mógł uderzyć kobietę.

On po prostu cały czas chodzi wściekły i przeklina. Ale lubi zwierzęta. Kiedyś przyszedł do nas facet z mocno pokiereszowanym kundlem. Twierdził, że psina spadła ze schodów. Bentley Rydel nie uwierzył; wezwał policję. Facet trafił za kratki.

– Podoba mi się twój szef. I masz rację; człowiek, który lubi zwierzęta, nie uderzyłby kobiety. – Na moment umilkł. – Frank już na pierwszej randce kopnął twojego kota.

– A ja próbowałam go usprawiedliwić. – Zdegustowana pokręciła głową. Pamiętała, że niedługo potem kot zniknął. Niewiedziała, co się z nim stało. Ale wrócił, kiedy rozstała się z Frankiem. – Schlebiałomi, że taki przystojny chłopak mógłby się mną zainteresować. To co z zupą?

Kell westchnął.

– Nie odmówię.

– Świetnie. Biorę się do roboty.

Wróciła z tacą, na której stały dwie miski. Poza sobą nie mieli nikogo. Ich rodzice zginęli trzynaście lat temu, kiedy Cappie była dzieckiem. Kell wziął siostrę pod swoje opiekuńcze skrzydła. Przez wiele lat troskliwie się nią zajmował, przesiadując w domu, zamiast chodzić na randki albo spotykać się z kumplami.

Pamiętała go w mundurze oficera. Wyglądał wtedy władczo i dostojnie. Teraz był przykuty do łóżka i do wózka inwalidzkiego. Takiego zwykłego, bo na elektryczny nie było ich stać. Ale nie leżał do góry brzuchem.

Bazując na własnych doświadczeniach i na relacjach kolegów, którzy pracowali w wywiadzie, pisał powieść

– przygodową.

– Jak ci idzie pisanie?

Roześmiał się.

– Nieźle. Rozmawiałem z kumplem z Waszyngtonu o nowych strategiach politycznych i nowych rodzajach broni.

– Czy jest ktoś, kogo nie znasz?

– Pewnie ktoś by się znalazł. – Westchnął. – Obawiam się, że w tym miesiącu znów przyjdzie wysoki rachunek za telefon. Poza tym musiałem zamówić kilka książek o Afryce...

Cappie popatrzyła na brata z dumą w oczach.

– Bardzo dobrze. Dużo robisz. Znacznie więcej niż ludzie sprawni fizycznie.

– Sypiam mniej niż oni, więc mam więcej czasu na pracę.

– Musisz pogadać z doktorem Coltrainem o swojej bezsenności.

– Gadałem. Wypisał mi receptę.

– Której nie wykupiłeś. Wiem to od Connie z apteki.

– Szkoda forsy na leki nasenne. Nie martw się, jakoś sobie poradzę.

– Wszystko sprowadza się do pieniędzy. – Cappie też westchnęła. – Żałuję, że nie jestem tak mądra i utalentowana jak ty. Może wtedy znalazłabym lepiej płatną pracę.

– Przestań. Kochasz zwierzęta i masz dryg do tej roboty

– powiedział Kell. – To ważniejsze od zarobków.

Wiem, co mówię.

Ponownie zanurzyła łyżkę w misce z zupą.

– Może, ale łatwiej byłoby opłacić rachunki, gdybym...

– Zobaczysz, jeszcze będziemy bogaci. – Uśmiechnął się szeroko. – Moja książka trafi na listę bestsellerów,

wszyscy będą zapraszać autora na spotkania i wywiady, kupimy sobie nowy samochód...

– Optymista.

– Trzeba mieć nadzieję. – Skrzywił się i powiódł wzrokiem po sypialni. – Inaczej co nam zostało? Brudne ściany, popękany tynk, auto z przebiegiem prawie czterystu tysięcy kilometrów i ciekący dach.

Cappie skierowała spojrzenie na żółtą plamę na suficie.

– Szkoda, że nas nie stać na gont.

– Blacha była tańsza. I ładnie się prezentuje. – Cappie popatrzyła na brata z powątpiewaniem w oczach. – A ten deszcz na dachu? Nie podoba ci się? Mamy za darmo koncert.

– Koncert? Raczej dudnienie.

– Naprawdę uważam, że powinienem się przenieść do domu dla żołnierzy.

– Po moim trupie. Zjadaj zupę.

– Dobrze, nie złość się.

Uśmiechnęła się czule. Był najwspanialszym bratem, jakiego można sobie wymarzyć. Nie zamierzała go nigdzie oddawać.

Kiedy nazajutrz rano dotarła do pracy, przestało padać.

Dzięki Bogu. Nie miała ochoty wynurzać się spod kołdry.

Uwielbiała leżeć przykryta po nos i słuchać bębnienia deszczu. Ale nie chciała, by ją wyrzucono z pracy. Jednego z drugim nie da się połączyć.

Chowała płaszcz do szafy, kiedy czyjeś długie ramię wysunęło się zza jej pleców i podało własny płaszcz.

– Proszę to powiesić.

– Dobrze, panie doktorze. – Zamknąwszy drzwi szafy, Cappie obróciła się. – Coś się stało? – spytała, bo Bentley Rydel nie ruszył się z miejsca.

– Nie. – Wyglądał tak, jakby dźwigał na swych barkach wszystkie problemy świata.

Znała to uczucie; miała sparaliżowanego brata, któremu nie mogła pomóc.

– Jak pluja, czasem trzeba myśleć, że deszcz pada.

– Co pani może o tym wiedzieć? Jest pani za młoda.

– Nie liczy się wiek, doktorze. Liczy się doświadczenie.

Gdybym była samochodem, musieliby mi wstawić klamki ze szczerego złota, żeby ktokolwiek chciał mnie kupić.

Jego spojrzenie nieco złagodniało.

– Gdybym ja był samochodem, trafiłbym na złom.

Parsknęła śmiechem.

– Przepraszam – zreflektowała się.

– Za co?

– Trudno się z panem rozmawia – przyznała.

Przez chwilę milczał.

– Nie jestem przyzwyczajony do ludzi – rzekł w końcu.

– To znaczy, widuję ich w pracy, ale mieszkam sam.

Większość życia spędziłem samotnie. – Nagle zmarszczył czoło. – A pani mieszka z bratem, prawda? On nie pracuje?

– Jako dziennikarz przebywał na terenach objętych wojną. W pobliżu miejsca, gdzie stał, wybuchł pocisk.

Odłamek utknął w jego ciele. Operacja nie wchodzi w grę. Kell jest sparaliżowany od pasa w dół.

– Psiakrew.

– No właśnie, psiakrew. Wiele lat był w wojsku.

W końcu uznał, że nie może mnie dłużej ciągnąć po całym świecie, więc znalazł pracę w jakiejś gazecie. Powiedział, że więcej czasu będzie spędzał w domu. I tak jest, tyle że żyje w ustawicznym bólu. A mnie boli, jak na niego patrzę.

W oczach Bentleya zobaczyła błysk współczucia.

– Tak, łatwiej samemu znosić ból, niż patrzeć na cierpienie ukochanej osoby. Opiekuje się pani bratem?

Uśmiechnęła się.

– Na tyle, na ile mi pozwala. On opiekował się mną, odkąd nasi rodzice zginęli w wypadku. Miałam wtedy dziesięć lat. Oczywiście stale powtarza, że jego miejsce jest w domu dla żołnierzy, ale nie zamierzam go nigdzie oddawać.

Bentley Rydel zamyślił się. Miał taką minę, jakby bardzo chciał z kimś porozmawiać, ale nie miał z kim.

– Niekiedy życie bywa paskudne – szepnęła.

– Rodzimy się, cierpimy, a potem umieramy. No dobra, do roboty, panno Drake. – Zawahał się. – Pani imię, Cappie, to zdrobnienie od...?

Przygryzła dolną wargę.

– No? – ponaglił.

– Od Capelli – przyznała niechętnie.

Uniósł brwi.

– Tej gwiazdy?

Roześmiała się zachwycona. Był jedną z nielicznych osób, które słyszały o takowej.

– Pewnie któreś z pani rodziców miało bzika na punkcie astronomii?

– Bzika? Hm, mama była astronomem, a ojciec astrofizykiem. Pracował dla NASA.

Bentley Rydel pokiwał głową.

– Musieli być piekielnie inteligentni.

– Nie odziedziczyłam po nich inteligencji. Ale Kell... pisze książkę. To będzie bestseller. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Brat zostanie milionerem. Wtedy nie będziemy musieli przejmować się kosztami leczenia.

– W tym kraju opieka zdrowotna to kpina – mruknął

Bentley. – Ludzie oszczędzają na jedzeniu, żeby kupić leki, oszczędzają na ubraniu, żeby kupić benzynę. Ciągłe sobie czegoś odmawiają, najbardziej podstawowych rzeczy. Zdziwiły Cappie jego gorzkie słowa. Ją samą stać było tylko na najskromniejsze ubezpieczenie medyczne. Gdyby cokolwiek się jej przydarzyło, musiałaby błagać władze stanowe o pomoc. Nie rozumiała, jak to możliwe, że pracodawca nie ubezpieczył Kella.

– No niestety, nie żyjemy w idealnym świecie.

– Zdecydowanie nie.

Korciło ją, by spytać Bentleya, dlaczego ma tak krytyczny pogląd w tej sprawie, ale zanim pokonała nieśmiałość, rozdzwoniły się telefony, a do poczekalni ze swoimi właścicielami weszli trzej czworonożni pacjenci. Jeden z nich, wielki bokser, rzucił się na małego pudła.

– Łap go! – krzyknęła Cappie, pędząc za bokserem.

Doktor Rydel chwycił zwierzę za smycz i pociągnął, tak by psisko wiedziało, kto tu rządzi.

– Siad! – rozkazał. – Co ja powiedziałem? Siad!

Bokser usiadł. Usiedli również wszyscy właściciele psów. Cappie wybuchnęła śmiechem. Betley Rydel posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, po czym odwrócił się i bez słowa zaprowadził boksera do pokoju zabiegowego.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Po powrocie do domu opowiedziała bratu o tym, co się wydarzyło w klinice. Dawno nie słyszała, żeby Kell tak długo i serdecznie się śmiał.

– Czyli twój szef ma władzę zarówno nad dwunogami, jak i czworonogami.

– Na to wygląda. – Zebrała talerze. – Ma również bardzo negatywną opinię na temat opieki zdrowotnej. Tak się zastanawiam... może kogoś z jego bliskich nie stać na leki albo szpital? Nigdy nie rozmawia o swoim życiu prywatnym. Jest potwornie skryty.

– Ty też – wytknął jej brat.

Wzruszyła ramionami.

– Kogo obchodzi, co ja robię w domu? Nie prowadzę ciekawego życia. Sprzątam, gotuję, zmywam. Ty to co innego. Kiedy byłeś w wojsku, poznałeś wiele gwiazd filmowych, słynnych sportowców...

– Oni niczym nie różnią się od nas – zauważył Kell.

– Sława nie jest wyznacznikiem cnoty ani cechą charakteru. Bogactwo też nie.

– Ja tam nie miałabym nic przeciwko pieniądzom.

– Westchnęła. – Przynajmniej moglibyśmy naprawić dach.

– Kiedyś się stąd wyprowadzimy – obiecał.

– Tak sadzisz?

– Cuda się zdarzają.

Może. Na razie marzyła o cudzie w postaci nowego płaszcza od deszczu. Obecny, kupiony za dolarawskie pieniądze z używaną odzieżą, był stary, wyblakły, w dodatku brakowało mu guzików. To znaczy, miał guziki, bo przyszywała nowe na miejsce starych, ale każdy był inny.



– O czym myślisz?

– O nowym płaszczu od deszczu. Przepraszam – dodała, widząc smutne spojrzenie brata. – Nie przejmuj się.

– Może Mikołaj ci przyniesie?

Pokręciła głową.

– Mikołaj nie trafiłby pod ten adres, nawet gdyby miał na saniach GPS-a. A gdyby trafił, to jego biedny renifer zleciałby z naszego blaszanego dachu i rozwalił sobie łeb o bruk. Potem do końca życia płacilibyśmy im odszkodowanie.

Kiedy wyszła do kuchni, Kell skrecał się ze śmiechu.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Cappie ustawiła w salonie sztuczne drzewko, tak by Kell widział je ze swojego łóżka. Ozdobiła je pojedynczym sznurem małych lampek i starymi bombkami, następnie zgasła w domu światła i wetknęła wtyczkę do kontaktu. Drzewko wyglądało jak zaczarowane.

– Ojej! – szepnął Kell.

Uśmiechnęła się zadowolona.

– Masz rację. Ojej. Żałuję tylko, że nie możemy mieć prawdziwej choinki.

– Ja też. Ale w dzieciństwie każde święta spędzałaś w łóżku, dopóki nie odkryliśmy, że jesteś uczulona na sosny, świerki i inne iglaste.

– Psiakostka!

– Teraz musimy zastanowić się, co pod nią umieścić.

– Atrapy prezentów?

– Przestań! Nie żyjemy w skrajnej nędzy.

– Jeszcze nie.

– I co ja mam z tobą zrobić? Uwierz mi, święty Mikołaj istnieje.

Zapaliła z powrotem światła.

– No dobra, niech ci będzie – powiedziała ze śmiechem.

– I przynosi prezenty.

Cappie pokiwała głową. Niełatwo jest żyć za marne grosze. Podziwiała brata, który miał znacznie bardziej optymistyczny stosunek do wszystkiego wokół. Jej własny optymizm z dnia na dzień malał.

Tydzień zaczął się źle. Doktor Rydel i doktor King wdali się w żartowaną dyskusję dotyczącą metody leczenia pięknego czarnego persy cierpiącego na ostrą niewydolność nerki.

– Możemy dializować – upierała się doktor King.

Z niebieskich oczu Bentleya poleciały iskry.

– Dializować? Koniecznie chce pani uszczuplić konto właścicielki i przedłużyć cierpienie Harry’ego?

– Słucham?

– Właścicielka kota jest emerytką. Pieniądze, jakie oszczędzała na stare lata, zabrała recesja gospodarcza.

Mamy jej kazać płacić za dializę dla kota, który przeżyje w cierpieniu najwyżej kilka tygodni?

Doktor King milczała.

– Mogę pompować w niego leki. Przedłużę mu życie o miesiąc. Mogę go dializować. Będzie żył dwa miesiące dłużej. Cały czas w potwornym bólu. A może myśli pani, że zwierzęta nie odczuwają bólu?

Doktor King dalej się nie odzywała.

– Dializa! Ja też kocham zwierzęta. Ratowałbym każ-

de, które ma szansę powrotu do normalnego życia. Ale ten kot nie ma i nie będzie miał. Czy kiedykolwiek widziała pani człowieka w ostatnim stadium niewydolności nerki?

– Nie, nie widziałam – odparła łagodnie doktor King.

– To powiem pani, że tak wygląda piekło. Nie zamierzam narażać na nie tego biednego zwierzaka. W rozmowie z właścicielką będę stanowczo odradzał dializę.

– Dobrze.

– Dobrze? – Skrzywił się.

– To musiało być dla pana bardzo trudne – powiedziała cicho lekarka.

Na twarzy Bentleya odmalował się wyraz ogromnej straty. Mężczyzna okręcił się na pięcie i wrócił do swojego gabinetu. Nawet nie zatrzasnął drzwi.

Cappie z Keely popatrzyły pytająco na doktor King.

– Nie wiecie, prawda? – Lekarka wskazała głową na pusty pokój, po czym zamknęła drzwi. – Liczę na waszą dyskrecję. Trzy lata temu u sześćdziesięcioletniej matki Bentleya wykryto niewydolność nerkową. Zalecono dializę. Dostawała też leki, które miały odwlec to, co było nieuchronne. Rok później lekarze odkryli nieoperacyjny guz na pęcherzu. Przegrała walkę. Żyła w niewyobrażalnym bólu. Przez cały czas miała skromną emeryturę.

Ubezpieczenie nie obejmowało wszystkiego. Jej mąż, ojczym Bentleya, odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek pomocy.

Bentley walczył z nim, żeby móc się widywać z matką.

Od lat byli na wojennej ścieżce, potem ich relacje jeszcze bardziej się popsuły. Matka Bentleya umarła, a on wini ojczyma za to, że zbyt późno pozwolił jej na wykonanie badań i o to, że nie chciał przyjąć pieniędzy na leczenie.

Matka żyła w potwornej biedzie, a jej mąż, który pracował gdzieś jako nocny stróż, był zbyt dumny, aby od kogokolwiek wziąć choć dolara.

Nic dziwnego, że Bentley tak źle ocenia służbę zdrowia, pomyślała Cappie. Trochę lepiej go teraz rozumiała.

– Oczywiście ma rację, jeśli chodzi o Harry’ego – dodała doktor King. – Pani Trammel niewiele zostaje, gdy opłaci rachunki, kupi żywność i leki dla siebie. Z pewnością nie stać jej na leczenie ukochanego kota, któremu mimo naszych starań zostanie kilka tygodni życia. – Westchnęła ciężko. – Dobrze, że mamy nowe urządzenia i nowe sposoby leczenia zwierząt, ale niedobrze, jeśli podejmujemy niewłaściwe decyzje. Kocisko jest stare, schorowane i cierpiące. Czy wolno narażać jego właścicielkę na wydatek kilku tysięcy dolarów, żeby przedłużyć mu cierpienie?

Keely wzdrygnęła się.

– Bailey, wilczur Boone’a nie żyłby, gdyby doktor Rydel go nie zoperował.

– Tak, tyle że Boone’a było stać na operację psa – zauważyła doktor King.

– To prawda.

– Można kupić ubezpieczenie medyczne dla zwierząt

– powiedziała Capie.

– Można, ale pytanie pozostaje: czy warto narażać śmiertelnie chore zwierzę na dodatkowe cierpienie?

W tym momencie zadzwonił na biurku telefon, a w drzwiach pojawiła się zapłakana kobieta z kotem na rękach.

– Czeka nas długi dzień – mruknęła doktor King.

Cappie opowiedziała bratu o matce Bentleya.

– Więc nie my jedyni marzymy o lepszej opiece medycznej.

– To prawda. Biedny facet. – Kell zadumał się. – Swoją drogą, jak podjąć za zwierzaka decyzję o leczeniu?

– Myśmy jej nie podejmowali. Przekazaliśmy pani Trammel naszą opinię, ale to ona podjęła ostateczną decyzję. Wykazała bardzo filozoficzny stosunek do całej sprawy. Powiedziała, że Harry ma już dziewiętnaście lat, że całe życie był potwornie rozpieszczany i że nie powinniśmy myśleć o śmierci jak o końcu świata. Koty idą do kociego nieba, w którym nie ma samochodów, jest za to mnóstwo łąk i trawników. Staruszka poprosiła Bentleya, aby skrócił cierpienie Harry'ego. Kotka Keely urodziła niedawno kilka białych kociaków. Pani Trammel dostanie jednego w prezencie. – Cappie uśmiechnęła się. – Życie toczy się dalej.

– Toczy, toczy – przyznał ponurym tonem Kell.

– Hej, głowa do góry! Zobaczysz, lada dzień nastąpi przełom w medycynie, zrobią ci operację i zaczniesz chodzić.

– A potem wygram British Open, zaprowadzę pokój na świecie i wynajdę lek na raka.

– Nie wszystko naraz! – zaprotestowała. – Zresztą jakim cudem chcesz wygrać British Open, skoro nie grasz w tenisa?

Opadłszy z powrotem na poduszki, Kell skrzywił się.

– Jakie to ma znaczenie? Tym bardziej, że szybciej skonam z bólu, zanim nastąpi jakikolwiek przełom w medycynie.

– Zaciśnął powieki. – Jeden dzień wolny od bólu...

Nawet nie wiesz, ile bym za to dał.

Wprzeciwieństwie do wielu ludzi miała świadomość, że chroniczny ból wpędza chorego w groźny stan przygnębienia.

Kellowi nic nie pomagało, żadne środki przeciwbólowe.

– Wiem, co ci poprawi humor. Pyszny koktajl czekoladowy, tuczące przesolone frytki i ociekający cholesterolem hamburger.

– Dobra, dobra, znęcaj się nade mną!

– Wcale się nie znęcam. Dostałam zwrot dziesięciu dolarów ze sklepu z narzędziami; okazuje się, że za dużo mi policzyli. Mogę skoczyć do banku, zrealizować czek i na kolację będą hamburgery. Co ty na to?

– Kocham cię.

– To leczę. – Spojrzała na zegarek. – O cholera, muszę się pospieszyć, bo inaczej bank zamkną.

Chwyciwszy starą kurtkę dżinsową i torebkę, wybiegła z domu. Ich samochód nie był niezawodny. Na liczniku miał prawie czterysta tysięcy kilometrów i wyglądał jak kupa złomu. Na szczęście silnik zapalił. Bak był w trzech czwartych pusty, ale została jedna czwarta. Starczy. Comanche Wells leżało pięć minut drogi od Jacobsville. Cappie skinęła głową. Spokojnie dojedzie jutro do pracy i z powrotem. Potem zacznie się martwić, za co kupić benzynę. Przydałby się kolejny czek na dziesięć dolarów. Ten w torebce zamierzała jednak przeznaczyć na Kella; potrzebował czegoś na rozweselenie. Napady przygnębienia powtarzały się coraz częściej. A ona wszystko zrobiłaby dla brata. Nawet pieszo pokonywała drogę do pracy.

Zrealizowała czek dwie minuty przed zamknięciem banku, następnie podjechała do pobliskiego lokalu dla zmotoryzowanych. Nie wysiadając z samochodu, zamówiła hamburgery, frytki i koktajle. Dostała pięć centów reszty. Postawiwszy jedzenie na siedzeniu, odjechała spod okienka i włączyła się w ruch. I wtedy stało się nieszczęście. Po pierwsze, zgasł jej silnik, a po drugie, huknęło wnią, a ściślejw drzwi od strony pasażera, jakieś auto.

Siedziała w samochodzie, drząc na całym ciele. Koktajle czekoladowe wylały się jej na dżinsy i kurtkę, po

podłodze walały się kawałki hamburgera. Uderzenie było silne. Co najmniej przez minutę nie była w stanie się ruszyć. Patrzyła na tablicę rozdzielczą, zastanawiając się, jak sobie poradzi bez auta. Najgorsze było, że jej ubezpieczenie nie obejmowało naprawy. O ile w ogóle samochód nadaje się do naprawy.

Powoli odwróciła głowę w prawo i spojrzała na auto, które w nią wjechało. Kierowca wysiadł, na chwiejnych nogach przeszedł kilka kroków i wybuchnął śmiechem. No tak, to tłumaczy, dlaczego nie zwolnił przed znakiem stopu. Oparł się o zniszczony zderzak i ponownie roześmiał. Ciekawe, czy drań ma ubezpieczony samochód, przemknęło Cappie przez myśl. Najchętniej przywaliłaby mu czymś w głowę, zanim zjawi się policja.

Poczuła, jak otwierają się drzwi od jej strony. Obróciwszy się, popatrzyła w czyjeś zimne stalowoszare oczy.

– Nic ci nie jest?

Zamrugła.

– To ty? To pan? – Skąd się tu wziął Bentley Rydel?

– Cappie, nic ci nie jest? – powtórzył zaniepokojony.

– Chyba nie – odparła. Jakoś nie była w stanie myśleć szybciej. – Wiozłam do domu hamburgery i koktajle. Kell był taki przygnębiony. Uznałam, że to mu poprawi nastrój.

– Roześmiała się. – Martwiłam się, że wydaję forszę na niezdrowe żarcie zamiast na benzynę. Teraz benzyna nie będzie mi do niczego potrzebna. Samochód jest zdezelowany.

– Masz szczęście, że nie jechałaś jednym z tych nowych aut. Już byś nie żyła.

Zerknęła na sprawcę wypadku.

– Doktorze Rydel, nie ma pan przypadkiem jakiegoś młotka albo łomu?

Popatrzył tam, gdzie ona.

– Chcesz się narazić policji?

– Nie widzę tu policji.

Wtym momencie nadjechał na sygnale radiowóz z Jacobsville.

Najwyraźniej któryś z pracowników lokalu wezwał policję. W stronę Cappie szedł funkcjonariusz Kilraven.

– O, jak dobrze, że to on – ucieszyła się. – Da draniowi popalić.

Policjant pochylił się.

– Wszystko w porządku? Nie potrzebuje pani lekarza?

Może wezwać karetkę?

– Nie, dziękuję – odparła pośpiesznie. Jeszcze by jej wystawiono rachunek! – Jestem tylko roztrzęsiona. –

Wskazała głową na rechoczącego sprawcę wypadku. –

Doktor Rydel nie chciał mi pożyczyć łomu, może więc pan strzeliłby temu łobuzowi w nogę? Nie mam autocasco, zresztą to nie była moja wina. I z powodu tego skurwiela od jutra będę musiała drałować do pracy.

– Strzelać nie mogę – oznajmił z błyskiem w oczach Kilraven. – Ale jeśli będzie się stawiał, zawiozę go do celi w swoim bagażniku.

– Świetnie.

Wyprostowawszy się, powiedział coś do Bentleya, następnie podszedł do pijaka, zbliżył nos do jego ust i skrzywił się. Poprosił mężczyznę, aby zgodził się na badanie krwi w szpitalu. Mężczyzna odmówił. Wobec tego oznajmił mu, że jest aresztowany i zakuł muręcawkajdanki, po czym wezwał przez telefon holownik.

– Chryste – jęknęła Cappie. – Nie stać mnie na holownik.

– Nie myśl o tym – powiedział Bentley. – Chodź, odwiozę cię do domu.



Pomógł jej wysiąść z samochodu.

– Oby jutro miał kaca jak stąd do Kalifornii – mruknęła, patrząc, jak Kilraven umieszcza pijaka w radiowozie.

Facet wciąż zanosił się śmiechem.

– Oby zaszedł w ciążę i urodził bliźniaki.

– O, tak – ucieszyła się Cappie. – Ciąża trwa dłużej niż kac.

Otworzył jej drzwi do swojego wielkiego land-rovera.

– Poczekaj. Za chwilę wrócę.

Rozglądała się z zainteresowaniem po wnętrzu samochodu.

Och, gdyby mogła sobie pozwolić na dwudziestoletnią wersję takiego auta...

Bentley wrócił z papierową torbą.

– Proszę – rzekł, kładąc jej wszystko na kolanach.

– Dwa hamburgery z frytkami, dwa koktajle czekoladowe.

– Skąd wiedziałeś? – zdumiała się.

– Nietrudno zgadnąć. – Wskazał na jej zachlapane musztardą i keczupem ubranie. Zapnij pasy.

– Zwrócę ci forsz.

– Bez przesady. – Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszyli.

– Nie wiem, gdzie mieszkasz.

Podawała nazwę miasteczka, potem nazwę ulicy. Jechali w milczeniu. Po paru minutach Bentley skręcił w podjazd przed małym nędznym domkiem, z którego obłaziła farba.

– Może nie jest to pałac – oznajmiła Cappie – ale przynajmniej nie musimy płacić za wynajem, a pokoje są duże i wygodne. Odziedziczyliśmy chałupę po kuzynie.

– Miło, że ją wam zapisał. Macie jeszcze jakichś kuzynów?

– Nie. Mamy tylko siebie. Gdybyśmy byli trochę bo-

gatsi – dodała, widząc krytyczny wzrok Bentleya – i odnowili ten dom, wyglądałby całkiem fajnie.

Bentley okrążył maskę, otworzył drzwi i odprowadził Cappie na werandę. Przytrzymał jedzenie, podczas gdy ona wydobyła z torebki klucz.

– Chciałbyś poznać Kella? – spytała nieśmiało.

– Bardzo chętnie.

Przekreśliła klucz w zamku i wskazała hol.

– Kell, wróciłam! – zawołała. – Z gościem!

– Świetnie, zwłaszcza jeśli gość używa szminki i ma poczucie humoru.

Bentley Rydel wybuchnął śmiechem.

– Przykro mi – powiedział. – Nie używam szminki.

Dając Bentleyowi znak, aby jej towarzyszył, Cappie ruszyła w stronę sypialni brata. Kell leżał na łóżku, wsparty na poduszkach, z laptopem na kolanach. Na widok gościa uniósł brwi.

– Powinnaś była kupić więcej jedzenia – rzekł.

– Jeśli chodzi o jedzenie, to... był drobny problem

– zaczęła Cappie. – Wyjeżdżałam z parkingu, kiedy zgasł mi silnik. I wtedy huknął we mnie jakiś pijak. Wóz nadaje się na złom.

– Ważne, że ty jesteś cała. Dobrze się czujesz?

– Tak, mam parę siniaków, ale to wszystko. Doktor Rydel podwiózł mnie do domu. Bentley, to jest mój brat, Kell.

– Toty jesteś tym weterynarzem? – Oczy Kella rozbłyły.

– Bałem się, że masz wielkie kły i ciągle warczysz...

– Kell!

– Bo warczę – przyznał ze śmiechem Bentley. – Ale tylko w godzinach pracy.

– Zabiję cię! – Cappie posłała bratu mordercze spojrzenie.

– Dobrze wiem, że jestem szefem z piekła rodem – zauważył Bentley. – Po prostu twój brat wyraża to, czego ty, moja pracownica, nie śmiesz powiedzieć mi wprost.

– W dodatku facet ma poczucie humoru. – Kell pokiwał głową. – Dzięki, że ją podwiozłeś. Niestety ja na kierowcę już się nie nadaję.

– Istnieją samochody, w których wszystko można wykonywać za pomocą rąk – zauważył Bentley Rydel.

– Zamówimy taki, jak tylko spłacimy raty za jacht

– oznajmił z poważną miną Kell.

Cappie nie wytrzymała i zaczęła chichotać.

– I skończymy budowę krytego basenu – dodała.

– Przynajmniej wraz z utratą sprawności nie straciłeś poczucia humoru – powiedział Bentley.

– To jedyne, co mi zostało – skwitował Kell. – Wielokrotnie proponowałem Cappie, że przeniosę się do domu dla żołnierzy, ale ona...

– Po moim trupie!

– O, i tak się kończą nasze rozmowy. – Westchnął.

– Miło jest być kochanym, ale czasem...

– Nie chcę tego słuchać. Nie zamieszkas na ulicy!

– Kto mówi o ulicy? Domy dla wojskowych bywają całkiem przyjemne.

Cappie wzięła od Bentleya tackę z kubkami i podała jeden bratu.

– Trzymaj. A tu są frytki i hamburger. Pracowałeś?

– Nie, zrobiłem sobie przerwę na mahjong. Nawet wygrywam.

– A ja namiętnie rozwiązuję sudoku – powiedział Bentley.

– To nie dla mnie. Kiedyś spróbowałem i myślałem, że zwariuję. Nawet jednej kolumny nie potrafiłem ułożyć. Jak ty to robisz?

– Mam bardziej rozwiniętą lewą półkulę mózgu.  
Liczby nie stanowią dla mnie problemu. Za to ortografia...  
Nie mógłbym być pisarzem.  
Kell roześmiał się.  
– Ja też mam bardziej rozwiniętą lewą półkulę, ale sudoku mi nie wychodzi.  
– Na studiach pomagali mi koledzy. Odwdzięczałem się, kupując im pizzę.  
– Mmm, pizza – westchnęła Cappie. – Jeszcze pamiętam, jak to smakuje.  
– Nie mówmy o pizzy. – Kell wypił łyk koktajlu. – Ty i te twoje ukochane pieczarki... – Skrzywił się.  
– Kell uwielbia w pizzy kiełbasę – wyjaśniła Cappie  
– a nienawidzi pieczarek. Ja odwrotnie. – Patrząc na brata, skierowała się w stronę drzwi. – No dobra, jedz kolację, a gdybyś czegoś potrzebował, to wołaj.  
Skinąwszy Kellowi na pożegnanie, Bentley ruszył za nią.  
– Ty też zjedz, zanim ci wystygnie. Podgrzewane frytki to nie to.  
Uśmiechnęła się nieśmiało.  
– Dzięki. Za podwiezienie. I za żarcie.  
Zastanawiała się, w jaki sposób dotrze w poniedziałek do pracy, ale wiedziała, że coś wykombinuje.  
– Drobiazg. – Bentley przyjrzał się jej uważnie. – Na pewno dobrze się czujesz?  
– Tak. Dalej jestem trochę roztrzęsiona, ale na szczęście skończyło się na strachu i paru siniakach.  
– A przyznałabyś się, gdyby coś ci dolegało?  
Nie odpowiedziała.  
– Gdybyś potrzebowała pomocy, zadzwoń do kliniki.  
Gdyby mnie nie było, zostaw wiadomość. Przekażą mi ją najszybciej, jak to możliwe.

– Dziękuję. To miło z twojej strony.

Zmrużył oczy.

– Jak na tak młodą kobietę, nosisz potężny ciężar na swoich barkach – oznajmił cicho.

– Inni noszą większy – odrzekła. – A ja Kocham Kella.

– To widać.

– Masz rodzinę?

Twarz mu stężała.

– Już nie.

– Przykro mi.

– Ludzie się starzeją, umierają... Dobranoc, Cappie.

– Dobranoc. I jeszcze raz dziękuję.

Odprowadziła go wzrokiem. Pod wieloma względami Bentley Rydel był najsmutniejszym człowiekiem, jakiego znała. Zjadłszy hamburgera, poszła do sypialni brata.

– Sympatyczny ten twój szef. Inny niż się spodziewałem.

– Jak mogłeś mu powiedzieć, co o nim mówiłam?

– spytała z udawanym oburzeniem.

– Facet nie zna pojęcia kłamstwa. Podoba mi się, że wali prosto z mostu; nie kluczy, nie zasadza się.

– Skąd wiesz?

– Swój swego wyczuwa – odparł z uśmiechem Kell.

– Jestem taki sam. A teraz klapnij i powiedz mi, co się stało.

Wzięła głęboki oddech i usiadła w fotelu obok łóżka.

Wcale nie miała ochoty mówić bratu o zniszczonym samochodzie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Do pracy pojechała z Keely, obiecała jednak przyjaciółce, że nie będzie jej nadmiernie wykorzystywać.

– Muszę kupić nowe auto – oznajmiła takim tonem, jakby wystarczyło podjechać do dilerów. Wrzeczywistości nie miała pojęcia, jak zaradzić swoim problemom.

– Mój brat przyjaźni się z szeryfem Hayesem Carsonem – rzekła Keely. – A Hayes zna Kilravena. Kilraven gadał z ubezpieczycielem sprawcy wypadku. Podobno rozmowa była burzliwa, ale stało się na tym, że sprawca pokryje ze swojego ubezpieczenia koszty naprawy twojego wozu.

– Serio?

– Facet był pijany, dalej jest w areszcie. Gdybyś chciała, mogłabyś wystąpić do sądu o odszkodowanie.

– O rany! Nigdy się z nikim o nic nie procesowałam.

– Ja też nie – przyznała ze śmiechem Keely – ale mogłabyś. Kiedy Kilraven uzmysłowił to ubezpieczycielowi, ten uznał, że bardziej mu się opłaca wydać majątek na naprawę starego auta niż ciągać się po sądach.

– Fajnie – szepnęła Cappie, oszołomiona informacją.

– Nie wiedziałam, comam począć. Mój brat jest inwalidą; żyjemy z mojej pensji i niewielkich oszczędności.

– Zanim poślubiłam Boone'a, też musiałam liczyć się z każdym groszem. Wiem, jak to jest, kiedy trzeba zaciskać pasa. Jesteś niesamowicie dzielna, Cappie.

– Dzięki. Mój brat, Kell, wiele lat spędził w wojsku.

Bywał w różnych niebezpiecznych sytuacjach, ale nigdy włos mu nie spadł z głowy. A potem przeniósł się do cywila, zaczął pracować w gazecie, wyjechał do Afryki

pisać reportaż i został ranny na skutek wybuchu pocisku.  
Gdzie tu sprawiedliwość?

Keely zmarszczyła czoło.

– Nie był ubezpieczony? Gazety chyba wykupują polisy dla swoich pracowników?

– Nie był.

– A wyjechał służbowo? Redakcja go wysłała?

– Tak. Już miał wracać, kiedy zadzwonił, że jest w szpitalu i nie wie, kiedy dotrze do domu. Nie pozwolił mi na żadne wizyty. Do domu w San Antonio przywiozła go karetka.

Keely nie odezwała się.

– Dziwnie to brzmi, prawda? Ale tak było.

– Może tak było – rzekła przyjaciółka. – Czasem prawda bywa dziwniejsza od fikcji.

Cappie skinęła głową. Nic nie powiedziała, ale postanowiła, że wieczorem porozmawia z bratem na ten temat.

Gdy wróciła do domu, na podjeździe stał wielki samochód terenowy. Przyglądając mu się z zaciekawieniem, weszła po schodach na werandę. Drzwi były otwarte.

Z pokoju Kella doleciał ją śmiech.

– Wróciłam! – zawołała.

– Chodź do mnie, Cappie! Mam gościa.

Zdjęła płaszcz i skierowała się do sypialni. Gościem

Kella był szczupły wysoki brunet z lekką siwizną na skroniach.

Miał zielone oczy, posepny wyraz twarzy i poparzoną dłoń, którą dyskretnie wsunął do kieszeni.

– To mój stary kumpel, Cyrus Parks, właściciel rancza w Jacobsville – oznajmił Kell. – A to moja siostra, Cappie. Uśmiechając się przyjaźnie, Cappie wyciągnęła rękę.

– Bardzo mi miło.

– Mnie również – rzekł mężczyzna. – Musicie się kiedyś wybrać do nas na ranczo. Mam wspaniałą żonę i dwóch małych urwisów. Chciałbym, żebyś ich poznał, Kell. Kell potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Żona? Dzieci? No, no, kto by pomyślał?

– Prędzej czy później nadchodzi taki moment, że człowiek chce założyć rodzinę. – Cyrus popatrzył na Cappie.

– Pracujesz u Bentleya?

– Tak.

– Facet naprawdę grozi wszystkim widłami czy to tylko złośliwe plotki? Cappie oblała się rumieńcem.

– Kell, ty draniu...

Kell ze śmiechem przycisnął rękę do serca.

– Nie opowiadałem mu, co mówisz o swoim szefie. Słowo honoru!

– Potwierdzam – odrzekł Cyrus. – Bentley często wpada do nas na ranczo, zwłaszcza w sezonie cielienia. Jest naszym weterynarzem. To dobry człowiek.

– Bardzo dobry. Podrzucił mnie do domu, kiedy jakiś pijak rozwalił mi samochód. Oczy Cyrusa pociemniały.

– Słyszałem o tym. Co za pech.

– Okazało się, że ubezpieczyciel sprawcy wypadku pokryje koszty naprawy – dodała ze śmiechem Cappie.

– Podobno wystraszył się, że podamy go do sądu.

– Tak byśmy zrobili – wtrącił Kell. – Mogłaś zginąć.

– Na szczęście skończyło się na siniakach. Ale to miło, że się o mnie martwisz.



Kell wyszczerzył zęby.

– To moje hobby.

– Powinieneś częściej wychodzić z domu – zwrócił się do przyjaciela Cyrus. – Wiem, że dręczy cię ból, ale siedzenie plackiem wpłynie jedynie na pogorszenie twojego stanu.

– Masz rację – przyznał Kell. – Ale nie siedzę beczynie.

Piszę powieść. O Afryce.

Cyrus Parks skrzywił się.

– To miejsce odcisnęło piętno na niejednym z nas.

– A na innych dalej odciska – mruknął Kell.

– Południowoamerykańskie kartele narkotykowe też próbują się tam wepchnąć. Cholera, jakby mieszkańcy Afryki nie mieli dość własnych problemów.

– Póki żądni władzy despoci mogą kosztem innych zbijać fortunę, nie poprawi się sytuacja wojskowych, którzy tam pracują.

– Wojskowych? – spytała Cattie.

– Tam dwie grupy walczą o supremację – wyjaśnił Kell.

– Jedni dobrzy, drudzy źli?

– Nie. Problemy stwarzają osoby z zewnątrz, które przedstawiają swoje argumenty za pomocą karabinów maszynowych i pocisków zapalających.

– Atakże improwizowanych urządzeń wybuchowych

– dodał Cyrus.

Cattie wytrzeszczyła oczy.

– Improwizowanych...?

– Które montuje się na różnych pojazdach, w przesyłkach pocztowych i zdalnie odpala.

– Cyrus, ty też byłeś w wojsku? – spytała Cattie.

Mężczyzna zawahał się.

– Tak jakby. – Spojrzał na zegarek. – Cholera, późno

się robi. Lisa chciała, żebym pojechał z nią po nowy kojec. Z poprzednim dość skutecznie rozprawił się nasz starszy syn.

– Silny chłopaczek – stwierdził Kell.

– Silny i uparty.

– Ciekawe, po kim ma ten upór?

– Wcale nie jestem uparty – zaprotestował Cyrus. – Po prostu nie toleruję głupich pomysłów.

– Na jedno wychodzi – rzekł ze śmiechem Kell.

– Wpadnę do ciebie za kilka dni. Gdybyś czegokolwiek potrzebował, to pamiętaj...

– Dzięki, stary.

– Przyjechałbym wcześniej, z Ebem i Micahem, ale akurat byłem z Lisą i dzieciakami poza miastem. Dobrze cię widzieć, Kell.

– Jestem twoim dłużnikiem.

Cyrus wzruszył ramionami.

– Nie żartuj. Od tego są przyjaciele: żeby pomagać.

– I pomagają.

Cappie przysłuchiwała się im z taką miną, jakby rozmawiali dwaj cudzoziemcy. Nic nie rozumiała.

– Do zobaczenia. – Cyrus wstał. – Dobranoc, Cappie.

– Dobranoc.

Po chwili drzwi się za nim zatrzasnęły. Cappie stała bez ruchu, wpatrując się w brata.

– Nic mi nie mówiłeś, że masz tu przyjaciół. Dlaczego ich nigdy nie widziałam?

– Bo zaglądali, jak byłeś w pracy.

– Aha.

Odwrócił wzrok.

– Poznałem ich, kiedy byłem w wojsku. To porządni ludzie. Może niekonwencjonalni, ale porządni.

Odprężyła się.

– Cyrus Parks ma poparzoną rękę...

– Próbował uratować z pożaru żonę i dziecko. Nie udało się. Tylko on ocalał. Stał się nerwowy, łatwo wpadał włość. Teraz ma nową żonę i dwóch synów. Uwolnił się od przeszłości.

– Biedny człowiek. Akim są ci dwaj, o których wspomniał?

– Przyjaciele. Eb Scott i Micah Steele. Micah jest lekarzem w Jacobsville, a Eb prowadzi centrum szkoleniowe dla oddziałów paramilitarnych.

– Dziwnych masz przyjaciół. No dobra, co ci zrobić na kolację?

– Coś lekkiego. Jadłem duży lunch.

– Tak? – Wychodząc, zostawiła mu tylko kilka kanapek.

– Cyrus przyniósł mnóstwo żarcia z chińskiej restauracji. Sporo zostało. Starczy dla dwóch osób.

– Chińskie jedzenie? Prawdziwe chińskie jedzenie z prawdziwej restauracji? Nie muszę nic gotować? – Uszczypnęła się. – Au! W dodatku wcale nie śnię.

– Dawno nie jedliśmy chińszczyzny – przyznał Kell.

– Ja poproszę makaron z wieprzowiną. Aha, jest jeszcze mango.

– Chyba umarłam i jestem w niebie.

– A ja razem z tobą. No, do roboty, siostra! A, pochwałę się: zacząłem czwarty rozdział.

– Serio?

Kell dawno nie sprawiał wrażenia tak pogodnego.

– Będę mogła przeczytać?

– Jasne. Jak skończę.

– Dobra.

Cappie udała się do kuchni i wyciągnęła z lodówki pojemniki z jedzeniem. Z trudem powstrzymała łzy. Miły

człowiek z tego Cyrusa. Bardzo miły. Jeśli nie liczyć wczorajszych hamburgerów i koktajli, za które jeszcze nie zwróciła Bentleyowi pieniędzy, dawno nie jadła gotowych dań z lokalu. Czeka ją prawdziwa uczta. Część jedzenia włożyła do zamrażarki, a resztę podgrzała. Zapowiada się cudowny wieczór.

Potem było coraz lepiej. Dwa dni później pod dom zajechał wysoki niebieskooki blondyn, który prowadził samochód Cappie. Tuż za nim na podjeździe zatrzymał się wielki terenowy wóz Cyrusa. Cappie wytrzeszczyła oczy. Z trudem rozpoznała własne auto: znikły wgniecenia, pojawiła się nowa warstwa lakieru, na podłodze leżały maty, na siedzeniach pokrowce. Cyrus wysiadł z terenówki i ruszył za blondynem na werandę.

– Mam nadzieję, że lubisz błękit – rzekł do Cappie.

– Była wyprzedaż lakieru.

– Ja... ja... – Łzy trysnęły jej z oczu. – Nie wiem, co powiedzieć.

Cyrus Parks poklepał ją po ramieniu.

– Nie płacz. Kiedyś ty komuś wyświadczysz przysługę.

Wierzchem dłoni przetarła oczy.

– Tak, dobrze, jak tylko się wzbogacę, to na pewno!

Przysięgam!

Mężczyzna roześmiał się.

– Harley Fowler – wskazał na swojego towarzysza

– jest nie tylko doskonałym zarządcą rancza, ale i świetnym mechanikiem. Prosiłem, aby doglądał naprawy.

Wszystkie koszty pokryła firma ubezpieczeniowa – dodał, widząc, że Cappie chce zaprotestować.

– Och, dziękuję. Głupio mi było wykorzystywać biedną Keely. Wprawdzie ona twierdzi, że to nic takiego, ale

za każdym razem musiała nadkładać z dziesięć kilometrów. Frontowe drzwi się otworzyły i na werandę wytoczył się Kell. Na widok samochodu aż zagwizdał.

– Rany boskie! Co za tempo!

Cyrus wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Zawsze umiałem sobie radzić z biurokracją.

– Dzięki, stary. W imieniu swoim i siostry. Gdybym kiedykolwiek mógł coś dla ciebie zrobić...

– Już dość zrobiłeś – oznajmił cicho przyjaciel. Po chwili oczy mu załśniły. – Ale zawsze możesz mnie umieścić w swojej książce. Jako... hm, dwudziestosiedmioletniego, zabójczo przystojnego lingwistę.

Kell wywrócił oczami.

– Lingwistę? Nawetwojczystym języku robisz błędy.

– Odszczekaj to, bo każę Harleyowi przestrzelić wszystkie opony – zagroził Cyrus.

– No dobra, dobra. Jesteś świetnym lingwistą. Powinieneś pracować jako tłumacz w ONZ.

– Chciałbym. – Cyrus westchnął. – Wciąż mówisz w farsi?

Kell skinął głową.

– Mam kumpla, który stara się o robotę w tamtej części świata. Mógłbyś go podszkolić? Gość jest nadziany, zapłaci za lekcje.

Kell skrzywił się.

– To żadna zapomoga – oburzył się Cyrus. – Facetowi naprawdę zależy na robocie, a nigdy jej nie dostanie, jeśli nie pozbędzie się akcentu.

– W porządku. – Kell odprężył się. – Mogę go podszkolić.

Dzięki, stary.

– To ja ci dziękuję. A gość jest całkiem sympatyczny.

Polubisz go. – Popatrzył na Cappie. – Ty niestety nie. Był

taki czas, kiedy nienawidziłem kobiet, ale w porównaniu ze mną ten gość to mizogin do kwadratu. Lepiej, żeby przychodził na lekcje, kiedy będziesz w pracy.

– A czym mu się kobiety naraziły? – zdumiała się Cappie.

– Jedna została jego żoną.

– To wszystko tłumaczy! – Kell parsknął śmiechem.

– Cyrus, dzięki za naprawę mojego auta.

– Drobiazg. Cieszę się, że mogłem pomóc. Harley, nie zapomnij oddać kluczy.

Harley wyciągnął je z kieszeni.

– Ta ślicznotka mruczy teraz jak zadowolony kociak.

– Ślicznotka? – spytała Cappie. – Samochód jest rodzaju żeńskiego?

– Tylko wtedy, gdy prowadzi facet – odparł Kell.

– Święte słowa – poparł go Harley.

– Hej, długo mam na ciebie czekać? – zawołał do swojego zarządcy Cyrus.

Harley skinął rodzeństwu na pożegnanie i pognął do terenówki.

Cappie zeszła po schodkach i otworzyła drzwi auta.

– O Boże, Kell, spójrz! Naoliwili zawiasy, nic nie skrzypi! I naprawili pękniętą deskę rozdzielczą! I wstawili nowe radio. – Ponownie wybuchnęła płaczem.

– Nie becz – poprosił ją brat. – Bo to zaraźliwe.

Pokazała mu język.

– Niesamowitych masz przyjaciół.

– Wiem. – Uśmiechnął się. – Teraz już nie musisz prosić nikogo o podwiezienie.

– Tak, to cudowne uczucie. – Zerknęła na Kella. – Jakoś nie wydaje mi się, żeby firma ubezpieczeniowa zapłaciła za to wszystko.

– Zapłaciła – oznajmił stanowczo.

– Skoro tak twierdzisz... Ale kumpli masz naprawdę wspaniałych.

– Owszem. Może ci kiedyś o nich opowiem. A teraz wracajmy do środka. Zimno jak diabli.

– Fakt, ciepło nie jest. – Obróciwszy się, wbiegła z powrotem do domu.

Tydzień zleciał szybko. Wpiątek dostała pensję, a raczej czek, który od razu zrealizowała, i w sobotę rano wybrała się do Jacobsville na zakupy. Kell wspomniał kiedyś, że chciałby dostać pod choinkę nowy szlafrok, więc udała się prosto do dużego domu towarowego. W dziale z męską odzieżą nieoczekiwanie wpadła na Bentleya. Popatrzył na nią jakoś dziwnie. Dopiero po chwili domyśliła się dlaczego: do pracy zawsze upinała włosy, a dziś je rozpuściła.

– Szukasz czegoś konkretnego? – spytał.

– Szlafroka dla Kella.

– Pod choinkę?

– Tak.

– A ja marynarki. – Westchnął. – Niestety prosto po nabożeństwie w kościele pojechałem z wizytą domową do dużego zwierzaka. Byczkowi nie spodobało się, że go kłuję. Wyrwał mi rękaw.

Cappie roześmiała się.

– Ryzyko zawodowe.

– To prawda. Całkiem ładnie wygląda teraz twój samochód. Ładnie? I to mówi ktoś, kto jeździ nowiutkim landroverem?

– Cyrus Parks prosił swego zarządcę, aby dopilnował wszystkiego. Koszty naprawy pokrył ubezpieczyciel sprawcy wypadku – powiedziała.

– To miło ze strony Parksa. Zna twojego brata?  
– Przyjaźnią się. – Zmarszczyła czoło. – Swoją drogą Parks w niczym nie przypomina ranczera.  
– Nie?  
– Ma w sobie coś, nie wiem, jak to ująć... coś groźnego. Jest niezwykle uprzejmy, ale nie chciałabym go rozgniewać.  
Bentley pokiwał głową.  
– Paru dilerów narkotykowych, którzy siedzą za kratkami, pewnie przyznałoby ci rację.  
– Co takiego?  
– To ty nie wiesz?  
– O czym?  
– Cyrus Parks jest emerytowanym najemnikiem. Kilka lat temu walczył w Afryce. A niedawno wraz z Harleyem Fowlerem i dwoma innymi kumplami rozbił tutejszy gang narkotykowy. Doszło do strzelaniny.  
– Gang? W Jacobsville?  
– Tak. Cyrus to jeden z najgroźniejszych ludzi, jakich znam. Z sympatią odnosi się do tych, których lubi. Ale ich jest jak na lekarstwo.  
Przeszły ją ciarki. Zastanawiała się, skąd Kell zna Parksa, bo sprawiali wrażenie, jakby wiele ich łączyło.  
– Dokąd potem idziesz? – spytał nagle Bentley. – Jak już kupisz szlafrok?  
– Nie wiem. Może... – Zaczerwieniła się. – Może zajrzę do centrum handlowego. Do sklepu z gramami.  
– Do sklepu z gramami?  
– Wyszła taka nowa. „Halo...”  
– „Halo: ODS””? Jesteś miłośniczką gier?  
– T...tak.  
Zaklął pod nosem.  
– Ależ doktorze Rydel! – zawołała. – To żaden grzech



pasjonować się grami. Dostarczają rozrywki, rozładują stres...

Pokręcił ze śmiechem głową.

– Mam wszystkie serie „Halo”, razem z tą najnowszą, która dopiero wyszła.

– Żartujesz!

– Nie. Mam „ODST”. Grywasz w sieci?

Nie chciała się przyznawać, że nie stać jej na opłaty.

– Lubię grać sama z sobą. Albo z Kellem. Onma bzika ma punkcie „Halo”.

– Ja też – przyznał Bentley. Jego oczy lśniły wesoło.

– Może kiedyś zagrałibyśmy razem?

– Bez trudu zabijam Myśliwych. Karabinem szturmowym.

– Twardzi opancerzeni Myśliwi byli groźnym przeciwnikiem; tylko plecy mieli słabo chronione, ale rzadko się nimi do gracza odwracali.

Bentley zagwizdał cicho.

– Nieźle, nieźle. Jestem pod wrażeniem.

– Od dawna grywasz? – spytała.

– Od studiów. A ty?

– Od szkoły średniej. Kell i jego koledzy z wojska często grywali u nas. Nauczyłam się od nich różnych taktyk, poznałam rodzaje broni, no i przyswoiłam mnóstwo słów, jakie człowiek wykrzykuje, kiedy pada trupem.

– Niegrzeczna dziewczynka – skarcił ją. – No dobra, pewnie się spotkamy w sklepie.

Rozstali się, po czym ona poszła szukać szlafroka, a on marynarki.

Kwadrans później zaparkowała wóz przy centrum handlowym. W sklepie panował tłok; główną klientelę stanowili nastoletni chłopcy, ale przy stoisku z najnowszymi grami stali dwaj dorośli mężczyźni. Jednym z nich

był doktor Bentley Rydel, drugim natomiast funkcjonariusz Kilraven.

Bentley podniósł głowę i na widok Cappie uśmiechnął się przyjaźnie. Policjant obejrzał się z zaciekawieniem.

– Wybrała się na zakupy świąteczne – wyjaśnił Bentley.

– Kupuje gry dla jakiegoś kuzyna?

Bentley parsknął śmiechem.

– Nie. Dla siebie. Podobno bez trudu likwiduje Myśliwych.

Karabinem szturmowym.

Kilraven zagwizdał z uznaniem.

– Pięknie. Ja zwykle powalam ich karabinem snajperskim.

– Można jednym drugim – powiedziała Cappie, przystając obok nich.

– Zna pani wszystkie kolejne „Halo”?

Potwierdziła skinieniem.

– Tak. Chcę jeszcze kupić „ODST”. Mój brat, Kell, też lubi te gry. To on mnie zaraził...

Policjant ściągnął z zadumą brwi.

– Kell Drake?

– Tak.

– Znam go. Supergość.

– Byliście razem w wojsku?

Kilraven uśmiechnął się.

– Dawno temu.

– Kell porzucił wojsko rok temu. Potem zaczął pracować dla gazety. Wyjechał do Afryki. Tam został ranny.

Jest sparaliżowany od pasa w dół, przynajmniej dopóki odłamek, który go trafił, nie przesunie się tak, żeby operacja była możliwa.

– Kell pracował dla gazety? Jako kto?

– No... jako dziennikarz. Pisał reportaże.  
– Kell potrafi pisać?  
– Tak, zawsze był świetny z przedmiotów humanistycznych  
– oznajmiła butnie Cappie.  
– A niech mnie... Dlaczego rzucił wojsko?  
Zawahała się.  
– Właściwie to nie jestem pewna.  
– O, zobaczcie! – Do rozmowy wtrącił się Bentley.  
– Znacie to?  
Kilraven spojrzął na zieloną okładkę.  
– No pewnie! „Elder Scrolls”, czwarta część – ucieszył się. – Znakomita rzecz. Gracz dostaje różne zadania, które musi wykonać. Może zaprojektować wygląd swojej postaci, nadać jej imię, wybrać pochodzenie... A pani, panno Drake? Grała pani w to?  
– Och tak, uwielbiam tę grę. W „Halo” można sobie postrzelać, ale lubię też powalczyć na miecze.  
Bentley przysunął się do Cappie.  
– Przyszedłeś na zakupy? – spytał policjanta.  
Kilravenowi oczy się zaświeciły.  
– Mam na sobie prawdziwy mundur. A w kaburze prawdziwą broń. Czywtakim stroju chodziłbym po mieście, gdybym nie był w pracy?  
Bentley wykrzywił usta w uśmiechu.  
– W pracy? W sklepie z gramami?  
– A żebyś wiedział. Podobno właśnie w tej sekundzie odbywa się tu próba kradzieży. – Mówiąc to, Kilraven podniósł głos.  
Chwilę później młody chłopak wyjął spod kurtki płytę z grą i odstawił ją na półkę. Czerwieniąc się po uszy, skierował się pośpiesznie ku drzwiom.  
– Wybaczcie, ale muszę zamienić słowo z tym młodzieńcem  
– oznajmił policjant.

- Skąd wiedział? – spytała zdziwiona Cappie, kiedy Kilraven przywołał do siebie niedoszłego złodziejaska. Bentley wzruszył ramionami.
- Podobno jest znany z tego typu akcji. Aha, wcale nie był na wagarach, po prostu miał przerwę na lunch, a ja sobie z niego żartowałem. Lubię gościa. Cappie zmrużyła oczy.
- Rekiny zwykle darzą się sympatią.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

W pierwszej chwili nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Ale dostrzegłszy błysk wesołości w jej oczach, wybuchnął śmiechem. Porównała go do rekina? No, no.

– Zastanawiałem się, kiedy mi się odszczekniesz.

– Niełatwo się z tobą rozmawia – odrzekła. – Podobnie jak z Kellem.

Bentley pokiwał głową.

– Kiepsko sobie radzę z ludźmi – przyznał. – Nie mam tak zwanej ogłady towarzyskiej.

– Za to znakomicie obchodzisz się ze zwierzętami.

– Dziękuję.

– Od dziecka lubisz zwierzęta?

– Tak. Ale mój ojciec za nimi nie przepadał. Dopiero po jego śmierci, kiedy zostałem z matką, zacząłem znosić różne koty i psy do domu. A potem mama wyszła po raz drugi za mąż. – Twarz mu stężała.

– Trudno ci było zaakceptować nowego mężczyznę w domu – powiedziała cicho Cappie.

– Trudno.

– Tak, wiem, jestem piekielnie domyślna i spostrzegawcza. Grzeszę też nadmiarem skromności.

Ponownie wybuchnął śmiechem. Po chwili, z zadowoloną miną, wrócił do nich Kilraven.

– Wyglądasz jak człowiek, który wykonał ważne zadanie

– zauważył Bentley.

– Owszem. I podejrzewam, że ten młody człowiek już nigdy nie spróbuje wynieść nic ze sklepu.

– Gratulacje. Nie aresztowałeś go?

– Zna kody do „Call of Duty”, tak zwane „czity”, których nawet ja jeszcze nie rozgryzłem. Więc zadzwoniłem do szeryfa.

– Te kody to coś nielegalnego? – spytała Cappie.  
– Nie. Cash ma szwagra, Rory’ego, który jest wielkim miłośnikiem „Call of Duty”. Młodociany złodziejasek obiecał wpaść wieczorem do Casha i nauczyć go wszystkiego. Przy okazji wysłucha kolejnego kazania.  
– Świetna strategia – pochwalił Bentley.  
– Chłopak jest pasjonatem gier, ale mieszka z owdowiałą matką, która pracuje na dwóch etatach, żeby zarobić na dom. Marzył o „Call of Duty”, ale nie miał forsy. Jeżeli dogada się z Rorym, będzie mógł sobie pograć, a przy okazji nauczyć się dobrych manier.  
Bentley pokiwał z uznaniem głową.  
– Biedne dzieciaki – ciągnął Kilraven. – Gry weszły na stałe do naszego, czy raczej ich życia, są jednak potwornie drogie.  
– Dlatego mamy w rogu stół z używanymi grami po obniżonej cenie – oznajmił właściciel sklepu, który przysłuchiwał się rozmowie. – Dzięki, Kilraven.  
– Spędzam tu tyle czasu, że czuję się w obowiązku chronić towar.  
Właściciel poklepał policjanta po ramieniu.  
– Porządny z ciebie chłop. Może następnym razem dam ci zniżkę.  
– Próbujesz przekupić policjanta?  
– Co? Ja? – oburzył się sklepikarz. – Nie powiedziałem, że dam. Powiedziałam, że może dam.  
Kilraven błysnął zębami w uśmiechu.

– Dobra, dzięki. Słuchaj, nie masz nic o historii Szkocji? Sklepikarz, przystojny młodzian, pokręcił głową.

– Niestety. Jesteś moim jedynym klientem, który interesuje się szesnastowieczną Szkocją. A większość historyków uważa, że James Hepburn zasłużył sobie na los, jaki go spotkał.

– Nieprawda. Został oszukany przez królową. Hepburn był niezwykłym człowiekiem. Nieustraszonym. Potrafił czytać, pisać i mówić po francusku. Nawet jego najwięksi wrogowie twierdzili, że jest nieprzekupny.

– Może i tak, ale to za mało, żeby powstała o nim gra. Kilraven dźgnął sklepikarza palcem.

– Tylko dlatego, że jesteś zwolennikiem Marii królowej Szkocji, nie powinienes zaraz występować przeciwko Lordowi Wysokiemu Admirałowi. Zresztą na podstawie jej życiorysu też nie stworzono gry...

– Dzięki Bogu – mruknął właściciel sklepu, po czym, korzystając z okazji, że pojawił się nowy klient, wrócił za ladę.

Bentley z Cappie wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– No co? – Kilraven popatrzył na nich z pretensją w oczach. – Rozrywka też powinna mieć walory edukacyjne.

– Absolutnie – zgodził się Bentley. – Na przykład w tej grze – zdjął z półki „Star Trek” – człowiek się uczy strzelać do wrogich statków. A w tej – sięgnął po inną – powalać wroga śmiertelnym promieniem i wysadzać w powietrze budynki.

– Nie interesuje cię historia? Gdybym nie wstąpił do policji, pewnie uczyłbym jej w szkole.

– Wyobrażam to sobie: Kilraven przy tablicy tłuma-

czący biednym dzieciom, na czym polegały szesnastowieczne metody przesłuchań.

– Niektórzy mi wytykają, że stosuję podobne. Dasz wiarę? Ja, taki praworządny obywatel.

– Znam co najmniej jednego potencjalnego porywacza, który nie podziela tej opinii.

– Facet łże. Nabawił się siniaków, kiedy próbował przecisnąć się przez okno w samochodzie.

– Który to samochód jechał sto kilometrów na godzinę?

– To moja wina, że drań nie chciał poczekać, aż zostanie postawiony w stan oskarżenia?

– Całe szczęście, zewporę zauważyłeś rozbitą szybę.

– Tak. – Kilraven westchnął ciężko. – Natomiast nie zauważyłem, że facet ma pałkę. Ale grzecznie mi ją oddał.

– Na czym się skończyło? Na złamaniu nadgarstka?

– Gość ma bujną fantazję i tyle – skwitował policjant.

– A skończy się na długiej odsiadce. Próba porwania, napaść na funkcjonariusza, stawianie oporu podczas zatrzymania...

– Mam nadzieję nigdy nie zaleźć ci za skórę – powiedział Bentley.

– Mnie? Ja to jestem baranek w porównaniu z szeryfem.

Kiedyś na oczach całego osiedla Cash wepchnął facetowi do ust namydloną gąbkę.

– Podobno został sprowokowany.

– Mył przed domem samochód. Gość obrzucał go wyzwiskami. Ale od czasu ślubu Cash trochę złagodniał.

– Bo ja wiem? Nadal świetnie posługuje się bronią.

Uratował córkę Colby'ego Lane'a, kiedy ją usiłowano porwać.

– Ćwiczy na strzelnicy Eba Scotta – wyjaśnił Kilra-



ven. – Jak my wszyscy. Eb nie pobiera od nas opłaty, a strzelnicę ma doskonale wyposażoną.

– Eb Scott? – spytała Cattie.

– Kilka lat temu walczył jako najemnik w najbardziej krwawych wojnach w Afryce. On, Cyrus Parks i Micah Steele. Potem chłopaki się pożenili i nieco ustabilizowali. Ale tak jak Cash Grier, nie złagodnieli.

Cattie przypomniała sobie, co o Cyrusie mówił jej brat. Kilraven spojrział na zegarek.

– Moja przerwa dobiegła końca. Muszę wracać.

– Nie zjadłeś lunchu – zauważył Bentley.

– Ale zjadłem duże śniadanie. Szkoda przerwy na żarcie

– dodał z uśmiechem policjant i wyszedł ze sklepu.

– Nigdy bym nie pomyślała, że on też gra – powiedziała Cattie.

– Wielu wojskowych używa gier, żeby ćwiczyć koordynację ruchowo-wzrokową.

– Byłeś w wojsku?

Skinął twierdząco głową.

– Gdyby nie wojsko, wszedłbym na drogę przestępstwa.

Przed laty zatrzymano mnie, bo zadawałem się z dwoma chłopakami, którzy obrobili drogerię. Byłem z nimi w samochodzie, ale nie wchodziłem do sklepu. Matka

poszła na rozmowę do sędziego. Ubłagała, żeby nie wsadzał mnie za kratki, tylko pozwolił mi wstąpić do wojska.

Zgodził się. Obecnie staruszek ma pod osiemdziesiątkę, ale wciąż co roku wysyłam mu prezent na gwiazdkę. Jestem jego dłużnikiem.

– Ładnie postąpił.

– Mądrze.

– W ostatniej klasie szkoły średniej Kell też popadł w konflikt z prawem. Przyjaźnił się z chłopakami należącymi do jakiegoś gangu. Doszło do strzelaniny. Jeden

z chłopaków zginął, innych aresztowano, Kella również.  
Trafił przed oblicze sędzi, kobiety, która dorastała wdzielniczy  
rządzonej przez gangi i która w wyniku przemocy  
straciła brata. Dała mu wybór: proces lub wojsko. Ucieszyła  
się, kiedy Kell wybrał wojsko. – Cappie westchnęła.  
– Biedna kobieta. Została śmiertelnie postrzelona we własnym  
salonie, kiedy w sąsiednim domu dilerzy narkotykowi  
walczyli z policją.  
– Niebezpieczeństwo czyha na każdym kroku.  
– To prawda – przyznała Cappie. – Nigdy nie wiadomo,  
co nas spotka. Może dlatego lubię gry? Mogę kontrolować  
przebieg wydarzeń. A życia kontrolować się  
nie da.  
Bentley uśmiechnął się.  
– Tak, życie bywa nieprzewidywalne. – Zobaczył, jak  
Cappie sięga na półkę po „Halo: ODST”. – Kazesz Kellowi  
czekać do Gwiazdki?  
– Tak.  
Oczy mu się zaświeciły.  
– Mógłbym wpaść ze swoją kopią...  
– Serio? – spytała przejęta. – Dziś?  
– Pogadaj z Kellem. Przyniosłbym pizzę i piwo.  
– Już mi ślinka cieknie. Ale mogłabym sama coś upichcić...  
– Bez przesady. Masz dość na głowie, żeby jeszcze  
gotować dla gości. Poza tym od tygodni nie jadłem dobrej  
pizzy. Co prawda mam dziś dyżur pod telefonem, ale  
może nie będzie nagłych wezwań.  
– Świetnie. Kell na pewno się ucieszy. Rzadko nas  
ktoś odwiedza.  
– To co, koło szóstej?  
Serce zabiło jej mocniej.  
– Tak, koło szóstej.

– Więc do zobaczenia.

Na drżących nogach przeszła do lady i zapłaciła za grę. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko się nagle zmieniło. Nie wiedziała, dokąd te zmiany ją zaprowadzą, czuła też lekki niepokój, bądź co bądź Bentley jest jej szefem. Bardzo przystojnym szefem obdarzonym cechami, które podziwiała u mężczyzn. No ale nie umówili się na randkę, tylko na granie. Na niewinny wieczór. Zaraz po przyjsciu powiedziała Kellowi, że będą mieli gościa.

– Świetnie – ucieszył się. – Spodobał mi się twój szef.

I fajnie będzie wypróbować grę, którą Mikołaj mi przyniesie.

– Może przyniesie.

– A tobie może przyniesie nowy płaszcz od deszczu.

– Super! – Uśmiechnęła się szeroko.

Przyjrzał się jej z czułością.

– Wiem, że nie jest nam tu łatwo. Wygodniej się żyło w San Antonio. Ale nie chciałem tam być, kiedy Frank wyjdzie z więzienia. – Jego twarz się zachmurzyła.

Cappie wzdrygnęła się. Od kilku dni ani razu nie pomyślała o Franku. Ale teraz przypomniała sobie proces i wściekłość swojego dawnego chłopaka.

– Minęło pół roku od jego aresztowania, trzy miesiące od procesu i prawie trzy miesiące od naszej przeprowadzki.

– Przygryzła wargę. – Psiakość. Niedługo Frank wyjdzie na wolność.

– Powinien był dostać surowszy wyrok – oznajmił gniewnie Kell. – Ale mimo że w przeszłości też bywał agresywny, nigdy nie miał sprawy w sądzie. A za pierwsze wykroczenie nie dostaje się wyższej kary. Swoją drogą przydzielono mu niezłego obrońcę.

Cappie głęboko odetchnęła.

– Cieszę się, że opuściliśmy San Antonio.

– Ja również. Dzieliła go od nas niecała przecznica.

A tu ma trochę dalej.

– Wierzysz w jego groźby?

– Frank jest typem faceta, który nie odpuszcza. Gdybym normalnie się poruszał, nie musielibyśmy się przenosić.

Obronilibym cię. Tu mam przyjaciół. Jeśli Frank

pojawi się w mieście, gorzko tego pożałuje.

Słowa Kella podziałały na nią uspokajająco.

– Wcale nie chciałam, żeby trafił za kratki.

– To nie ma znaczenia. Po prostu mu się postawiłaś, a on był przyzwyczajony do tego, że wzbudza strach.

Widziałaś na procesie jego siostrę? Siedziała w ostatnim rzędzie, skulona i wystraszona, gdyż nie zapewniła mu alibi.

– Skąd się biorą tacy ludzie? Co sprawia, że mężczyzna musi pobić kobietę, żeby poczuć się silnym?

– Nie wiem, Cappie – odparł łagodnie Kell. – Mam wrażenie, że Frank jest człowiekiem totalnie pozbawionym ludzkich uczuć. Jego siostra mówiła, że w dzieciństwie rzucił z mostu jej psa, a potem się z tego śmiał.

Pokręciła ze smutkiem głową.

– Wydawał się dżentelmenem. Przynosił mi do pracy kwiaty i czekoladki, pisał listy miłosne. Ale pamiętam, że gdy przyszedł do nas do domu, to kopnął kota, bo na niego syknął.

– Kocisko znało się na ludziach.

– Kiedy krzyknęłam oburzona, powiedział, żebym się nie przejmowała głupim futrzakiem, tym bardziej że zwierzęta nie czują bólu. Już wtedy powinnam była się zorientować, co to za typ.

– Zakochani mają klapki na oczach, nie zachowują się

rozsądnie – stwierdził Kell. – Ty byłaś tak zakochana, że pewnie wybaczyłybyś Frankowi morderstwo.

Cappie westchnęła ciężko.

– Mam nauczkę. Teraz już wiem, że wygląd i miłe drobne uczynki nie świadczą o charakterze człowieka.

Powinnam była uciekać, kiedy pierwszy raz zadzwonił do mnie do pracy.

– Wtedy się jeszcze nie znaliście. Nie wiedziałaś, z kim masz do czynienia.

– Ale ty wiedziałaś.

– Tak, spotykałem takich ludzi w wojsku. Facetów, którzy znakomicie walczą, bo widok krwi i trupów nie robi na nich wrażenia. Alewcywilu niekoniecznie chciałbym się z takimi zadawać.

Przez chwilę milczała.

– Kilraven wspomniał, że Eb Scott pozwala policji za darmo korzystać ze swojej strzelnicy. Ty też go znasz?

– Tak.

– I Micaha Steele’a?

– Owszem.

Ponownie zamilkła.

– To eks-najemnicy, Kell.

– Wiem.

– Mieli kontakt z wojskiem?

– Wojsko wynajmuje pracowników kontraktowych

– odparł wymijająco. – Ludzi odpowiednio wyszkolonych do konkretnych zadań.

– Na przykład do walki?

– Na przykład. Zawieraliśmy umowy z firmami, które wspomagały naszych na Bliskim Wschodzie. Albo w Afryce podczas różnych tajnych operacji. – Popatrzył na zegarek. – Nie musisz nic przygotować? Jest wpół do szóstej.

- Już? Boże, muszę posprzątać w salonie! I w kuchni. Bentley obiecał przynieść pizzę i piwo.
- Przecież nie pijasz piwa.
- Ja nie, ale ty tak. Pewnie ktoś mu powiedział.
- Kell uśmiechnął się.
- Przyjemnie mieć przyjaciół, którzy wpadają z żarciem.
- Niedawno Cyrus z chińszczyzną, a teraz... Rozpieszczają nas.
- Cwotym złego? Najwyraźniej wpadłaś Bentleyowi w oko.
- Hm, czyżby? Pokazała bratu język i wybiegła.
- To nie fair! – zawołała, kiedy po raz dziesiąty „padła trupem”, usiłując wyeliminować jednego z Myśliwych.
- Nie rzucaj kontrolerem – powiedział Kell.
- Zacisnęła mocniej rękę na urządzeniu.
- Jest wytrzymały.
- Kto jak kto, ale ona to wie najlepiej – poinformował rozbawionego gościa Kell. – W ostatnim czasie kilka razy cisnęła nim w ścianę.
- Bo ciągle mnie ukatrupiają! – zirytowała się. – Ci Myśliwi różnią się od tych w „Halo 3”. Są prawie niepokonani, w dodatku jest ich całe mnóstwo!
- Ja bym się bardziej przejmował Obcymi, którzy walą granatami – zauważył Bentley. – Kiedy ty usiłujesz ustrzelić Myśliwych, ci drudzy w tym czasie wysadzają cię w powietrze.
- Dajcie mi miotacz ognia! Albo wyrzutnię! Dlaczego nie mogę znaleźć wyrzutni raketowej?
- To by było za łatwe. Musisz się uzbroić w cierpliwość, Cappie. Zwolnij, nie próbuj powalić wszystkich naraz, nie pozwól, żeby cię zaszli z dwóch stron.

Posłała swojemu szefowi gniewne spojrzenie, po czym ponownie skupiła uwagę na ekranie.

Było późno, kiedy odprowadziła go do samochodu.

– Dzięki za piwo i pizzę. Jak będziesz miał ochotę, to kiedyś zaproszę cię na kolację. Bo umiem gotować.

Uśmiechnął się.

– Chętnie wpadnę.

– Dzięki również za grę. Jest fantastyczna.

– Co myśmy robili w wolnym czasie, zanim wynaleziono gry? – zadumał się, przystając przy samochodzie.

– Ja oglądałam teleturnieje. A Kell lubił stare filmy.

I seriale policyjne.

– Też je lubiłem, ale rzadko mi się zdarzało obejrzeć coś do końca. Zwykle najciekawszym momencie dzwonił telefon i wzywano mnie do krowy czy konia.

– Nigdy jednak nie narzekasz, nawet jak leje. Po prostu chwytasz kurtkę i pędzisz.

Wzruszył ramionami.

– Lubię swoich pacjentów.

– A oni ciebie. Niesamowite, prawda?

– Co?

– Nie to chciałam... Niesamowite, że nawet okropna pogoda ci nie przeszkadza, kiedy jesteś gdzieś potrzebny.

– Oj, przydałby ci się kurs asertywności – rzekł Bentley z nutą sympatii w głosie.

– Nieśmiało trudno być asertywnym.

– W moim zawodzie asertywność jest konieczna.

Zwłaszcza kiedy ludzie upierają się przy swoich racjach.

Wiele zwierząt mogłoby zdechnąć, gdybym nie potrafił przemówić ich właścicielom do rozsądku.

– Słuszna uwaga – przyznała Cappie.

– Na pocieszenie ci powiem, że w twoim wieku też

miałem ogromne problemy z przewyciężaniem nieśmiałości.

– I jak sobie poradziłeś?

– Mój ojczym postanowił, że matka, która miała zapalenie pęcherza, nie pójdzie do lekarza. Byłem wtedy na studiach. Wiedziałem, co się dzieje ze zwierzętami, które na to chorują. Powiedziałem mu. A on na to, żebym się nie wtrącał, bo on jako głowa rodziny zdecyduje, co jest dla matki dobre. – Na moment wrócił pamięcią do tamtych dni. – Miałem wybór: mogłem się wycofać i pozwolić matce chorować, może nawet umrzeć, albo... Oznajmiłem, że bez względu na to, co on chce, mama pójdzie do lekarza. Wsadziłem ją do samochodu i zawiozłem do szpitala.

– Co na to ojczym?

– Comógł zrobić? Nic. Tym bardziej, że ja zapłaciłem za wizytę. To nie była nasza pierwsza kłótnia. Ojczym nie miał pieniędzy, lecz był piekielnie dumny. Zamiast przyznać się, że nie stać go na leczenie, wołał, żeby matka cierpiała. To straszne, kiedy ludzie muszą wybierać, na co wydać pieniądze: na żywność czy leki, na ogrzewanie czy szpital.

– Doskonale cię rozumiem. To znaczy, Kell i ja dajemy sobie radę. Ale czasem on rezygnuje z leków i wtedy muszę tupnąć nogą. I tupię głośno, bo się mnie słucha.

– Porządny z niego gość.

– Owszem, ale bywa porywczy. – Zawahała się. –

Przez pewien czas spotykałam się z pewnym mężczyzną.

W San Antonio. – Zamilkła. Nie była pewna, czy powinna Bentleyowi o tym opowiadać.

Podszedł krok bliżej.

– Z pewnym mężczyzną? – Głos miał cichy i kojący.

Cappie objęła się ramionami. Miała na sobie sweter,



ale na zewnątrz było chłodno, poza tym wspomnienia przyprawiały ją o dreszcze. Pamiętała, jak Frank po raz pierwszy ją uderzył. Przeprosił, tłumaczył się, że wypił. Strasznie płakał. Wróciła do niego. Za drugim razem zatłukłby ją na śmierć. Gdyby nie Kell, który usłyszał jej krzyk, nie skończyłoby się na złamanej ręce. Siedząc na wózku, Kell walnął Frankawgłową lampą, po czym kazał siostrze wezwać policję.

– Co się wydarzyło?

Pytanie Bentleya wyrwało ją z zadumy. Popatrzyła mu w twarz. Chciała opowiedzieć o tym, co przeżyła, ale bała się. Frank został skazany na pół roku, lada dzień wyjdzie na wolność. Czy będzie próbował ją odszukać? Czy miał na tyle nie po kolei w głowie? I czy Bentley uwierzy w jej wersję? Chyba jest za wcześnie, aby wyciągać koszmary z przeszłości. Zresztą po co? Frank nie przyjedzie do Jacobsville, nie będzie ryzykował kolejnej odsiadki. A Bentley...

może uzna, że to była jej wina?

– Był złym człowiekiem, to wszystko – odparła wymijająco.

– Kopnął mojego kota. Wystraszyłam się. A jego to bawiło.

Bentley zmrużył oczy.

– Człowiek, który znęca się nad zwierzętami, znęca się również nad ludźmi.

– Pewnie tak – przyznała. – Niezbyt długo się spotykaliśmy.

Źle się czułam w jego towarzystwie. Kell też za nim nie przepadał.

– Lubię twojego brata.

– Ja też. – Na moment zamilkła. – Popadł w depresję.

Dobiły go długi, rachunki za szpital. Mieliśmy szczęście, że kuzyn zostawił nam w spadku ten dom.

Bentley uniósł brwi.

– Mieszkał tu Harry Farley. Pół roku temu zginął

podczas działań wojennych. Nie miał krewnych. Z uwagi na to, że służył w wojsku, został pochowany na koszt miasta.

– Ale Kell powiedział... – Urwała.

– Zaraz, zaraz. – Widząc jej minę, Bentley zreflektował się, że niepotrzebnie zabrał głos. – Chyba faktycznie ktoś mi mówił o jakichś dalekich kuzynach Harry’ego.

Roześmiała się wesoło.

– To właśnie my.

– Tak, nie skojarzyłem. – Przyjrzał się jej uważnie.

– Wiesz, to pierwsza sobota od dawna, kiedy nie miałem żadnych pilnych wezwań.

– Prędzej czy później musiało tak wypaść. Zgodnie z zasadą prawdopodobieństwa...

– Może. Do zobaczenia w poniedziałek. – Otworzył drzwi samochodu. – A z zaproszenia na kolację kiedyś skorzystam. Ustalimy co i jak, przyniosę składniki. –

Uniósł rękę, kiedy zobaczył, że Cappie chce zaprotestować.

– Nie warto się ze mną kłócić, bo i tak nie wygrasz.

Spytaj Keely.

– Wierzę ci na słowo – powiedziała. – Dobranoc.

– Dobranoc. – Zatrzasnął drzwi.

Wróciwszy na werandę, obejrzała się. Bentley wysunął rękę przez okno i pomachał na pożegnanie. Stała wpatrzona w oddalające się światła; dopiero po chwili zdała sobie sprawę z zimnego wiatru. Dawno nie była tak szczęśliwa.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wponiedziałek w klinice czuła się trochę niezręcznie.

Czy powinna mówić swoim współpracownikom, że szef był u niej podczas weekendu? Lubiła koleżanki z pracy, ale nie chciała, żeby czyniły jakieś docinki czy aluzje.

Długo mieszkała w San Antonio, nie znała zwyczajów panujących na prowincji. Nie przyszło jej do głowy, że w małych miasteczkach wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

– Jak pizza? Smaczna? – spytała doktor King.

Cappie wytrzeszczyła oczy, a lekarka uśmiechnęła się serdecznie.

– Moja kuzynka pracuje w pizzerii. Doktor Rydel wspomniał, dokąd jedzie z pizzą. Z kolei kuzynka przyjaźni się z Artem, który prowadzi sklep z gramami, więc...

– Ojej – westchnęła Cappie.

Doktor King poklepała ją po plecach.

– Hej, głowa do góry. Mieszkańcy Jacobsville są jak jedna duża rodzina. Większość z nas się tu urodziła, nasze rodziny żyją tu od pokoleń. Wszyscy wiemy, co się wokół dzieje. Lokalnych gazet nie musimy czytać.

– Ojej – powtórzyła Cappie.

– Cześć! – zawołała Keely, zdejmując kurtkę. – No i kto wygrał w sobotę?

Cappie miała taką minę, jakby była bliska łez.

– Ona jeszcze nie przywykła do życia w małych miasteczkach

– zauważyła doktor King.

– Na szczęście doktor Rydel zna tutejsze zwyczaje

– oznajmiła Keely i na widok udęzionej miny Cappie

wybuchnęła śmiechem. – Gdyby przejmował się plotkami,

omijałby twój dom z daleka.

– Bidulka myśli, że będziemy się z niej naśmiewać

– rzekła doktor King.

– Bez przesady. Wszystkie kiedyś umawiałyśmy się na randki. – Keely zaczerwieniła się. – Ja jeszcze całkiem niedawno, a potem Boone mi się oświadczył...

– I nikt jej nie dokuczał – dodała doktor King. – Przynajmniej nie w obecności Boone’a.

– Super – mruknęła ponuro Cappie.

– Bentley nie znosi większości kobiet. Któregoś dnia jedna z naszych młodszych klientek postanowiła go poderwać. Ubrała się seksownie, umalowała, i kiedy Bentley pochylił się, żeby zbadać jej suczkę, pocałowała go.

– Jak zareagował? – zapytała Cappie.

– Wezwał mnie, powiedział młodej osobce, że jest niedysponowany, i mnie przekazał pieska.

– A co ona na to?

– Zrobiła się czerwona jak burak, wzięła psa pod pachę i wyszła. Okazało się, że psu nic nie dolega.

– Wróciła kiedykolwiek później?

– Och, tak. To bardzo uparta osoba. Za trzecim razem zażądała, aby wyszedł do niej doktor Rydel. Bentley zadzwonił do Casha Griera, szefa miejscowej policji, poprosił go, żeby przyjechał do kliniki i wytłumaczył kobiecie konsekwencje prawne molestowania seksualnego.

Cash to zrobił. Kiedy skończył mówić, kobieta zabrała psa do domu i niedługo później przeniosła się do Dallas.

– Niesamowite!

– Jak widzisz, Bentley doskonale potrafi się bronić, kiedy nie życzy sobie czyjegoś towarzystwa. – Doktor King zamyśliła się. – Zatem lubisz gry komputerowe?

– Uwielbiam – przyznała Cappie.

– Mój mąż na „Xbox Live” osiągnął wynik powyżej szesnastu tysięcy.

Keely patrzyła na nie nierozumiejącym wzrokiem.

– Ja dochodzę do czterech tysięcy, a mój brat do piętnastu

– wyjaśniła Cappie. – Im wyższy wynik, tym lepszy gracz.

– Ja zwykle przystaję na dwustu punktach. – Doktor King westchnęła. – Kiedy Bentley wyjeżdża do dużych zwierząt, wtedy ja mam dyżur pod telefonem. Ciągłe zaczynam gry, które mąż za mnie kończy.

– Kell miał kumpli w wojsku, którzy osiągali jeszcze lepsze wyniki. Często wpadali do nas po służbie. Grali i wyjadali wszystko z lodówki. Boże, ależ mieli apetyt!

– Dużo czasu spędziliście za granicą? – spytała Keely.

– Otak, widziałam mnóstwo egzotycznych zakątków.

– A które miejsce najbardziej ci się podobało?

Cappie nawet się nie zawahała.

– Japonia. Wybraliśmy się tam, kiedy Kell stacjonował w Korei. Korea też była ciekawa, ale w Japonii się zakochałam. Technologicznie wyprzedzają nas o lata.

– Jechałaś ich pociągiem?

– Tak. Pędzi jak torpeda. Jest niesamowicie szybki. A jakie mają stacje kolejowe! Wszystko mi się tam podobało. Kioto pełne ogrodów, drzew, świątyń jest niczym żywy obraz.

– Chciałabym je zobaczyć. Znajoma, która tam była, nie mogła wyjść z zachwytu.

– Bo to faktycznie nadzwyczajne miasto. Myśmy zwiedzili świątynię i ogród zen, który cechuje prostota

i niezwykła oszczędność środków wyrazu. Ogród usypany był ze żwiru, piasku i kamieni. Piasek przypominał rozchodzące się fale. Wokół rosły ogromne sosny. Był też zielony las bambusowy z wielkim stawem pełnym karpia koi. – Cappie westchnęła. – Chyba mogłabym tam mieszkać. Spośród miejsc, jakie widzieliśmy, Kellowi też najbardziej podobało się Kioto.

Nagle za plecami kobiet rozległ się niski głos.

– Będziemy dziś pracować czy podróżować?

Wszystkie podskoczyły.

– Przepraszam, panie doktorze – powiedziała Keely.

– Ja też – zawtórowała Cappie.

– *Nihongo no daisuki desu.* – Bentley Rydel skłonił się grzecznie.

– *Nihon no tomodachi desu. Konichi wa, Rydel sama*

– rzekła Cappie i odkloniła się.

Keely i doktor King z zafascynowaniem przysłuchiwały się tej wymianie uprzejmości.

– Powiedziałem, że podoba mi się język japoński – wyjaśnił Bentley.

– A ja, że jestem przyjacielem Japonii. No i przywitałam się... – Cappie popatrzyła na swojego szefa. – Nie wiedziałam, że mówisz po japońsku.

– Mówisz to za dużo powiedziane. – Uśmiechnął się.

– Będąc w wojsku, stacjonowałem na Okinawie. Na przepustki jeździłem do Tokio.

– Jaki mały jest ten świat – zadumała się doktor King.

– Mały i bardzo zatłoczony – skonstatował Bentley.

– A jeśli mi nie wierzycie, to sprawdźcie w poczekalni.

Wszystkie trzy rzuciły się ze śmiechem w stronę drzwi.

Stosunki w pracy zdecydowanie się poprawiły. Doktor

Rydel przestał warczeć na Cappie, a ona przestała się go bać. Ich wzajemne relacje można było określić mianem niemal przyjacielskich.

W sobotę wieczorem Bentley Rydel przyszedł do rodzeństwa na proszoną kolację. Cappie najpierw wszystko leciało z rąk, a to upuściła rondel, a to stłukła talerz, natomiast potem, kiedy jedli, z nerwów prawie się nie odzywała.

– Doskonale gotujesz – pochwalił ją Bentley.

– Dziękuję. – Zaczerwieniła się.

Kell z rozbawieniem obserwował siostrę.

– Już jako nastolatka świetnie sobie radziła w kuchni

– zdradził Bentleyowi. – Oczywiście kierowała nią desperacja.

Cappie przyznała mu ze śmiechem rację, po czym również zwróciła się do Bentleya.

– Kell przypalał nawet wodę. W końcu pożyczyłam książkę kucharską od żony jednego z jego kumpli i zaczęłam ćwiczyć. Żona tego kolegi się nade mną zlitowała i dała mi kilkanaście lekcji.

– Mmm. – Kell oblizał się na samo wspomnienie.

– Babka była absolwentką jednej z najlepszych szkół gotowania na świecie; specjalizowała się w ciastach francuskich.

Przytyłem z sześć kilo. Potem jej męża gdzieś wysłano i lekcje się skończyły.

– Wcale nie! – zaprotestowała Cappie. – Wprowadziła się nowa rodzina, dowódca z żoną, która z kolei przyrządzała świetne dania jarskie.

– Nie cierpię warzyw.

– Jeden lubi pomarańcze, drugi zgniłe jaja – mruknęła.

– Zresztą zapiekanka z kabaczków jest pyszna.

Mężczyźni wymienili przerażone spojrzenia.

– Chryste, o co chodzi? – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Jeszcze nie spotkałam faceta, który ze smakiem zjadłby kabaczka. Ato doskonale warzywo; można z niego zrobić mnóstwo ciekawych rzeczy.

Bentley podrapał się po brodzie.

– Na przykład przycisk do papieru.

– Rzeczy do jedzenia!

– Nie jadam przycisków.

Wzdychając ciężko, pokręciła głową.

– Lepiej poczęstuj nas tym pysznym deserem, który przyrządziłaś – powiedział Kell.

– Dobrze.

Wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia. Bentley poderwał się, by ruszyć jej do pomocy. Uniosła brwi.

– No co? – Wzruszył ramionami. – Mieszkam sam, więc przyzwyczajony jestem do sprzątanego ze stołu. Tyle że naczyń niewstawiam do zlewu, tylko wywalam do śmieci.

Zwykle jadam gotowe dania na plastikowych talerzach.

Cappie skrzywiła się.

– Nie ma nic złego w gotowcach – oznajmił Kell.

– Też je kupowałam.

– Tylko wtedy, kiedy pracowałam do późna – przypomniała mu siostra. – Chociaż na ogół przygotowywałam wszystko wcześniej i wystarczyło podgrzać.

– To prawda – przyznał Kell.

– A co zrobiłaś na deser? – zainteresował się Bentley.

– Babkę piaskową.

– Moja mama często ją piekła. – Przez moment jego spojrzenie stało się nieobecne.

Cappie domyśliła się, że myśli o śmierci matki.

– Z polewą czekoladową – dodała, próbując przywołać go do teraźniejszości.

– Wspaniale! – ucieszył się. – Barbara czasem sprzedaje porcje u siebie w kawiarni, ale strasznie rzadko.



– Mnóstwo ludzi bywa uczulonych na czekoladę – zauważyła Cappie.

– Ja nie. I mam nadzieję, że babka jest wielka. A jak mi jeszcze dasz kawałek na wynos, to w przyszłym tygodniu pozwolę ci przyjść do pracy godzinę później.

– Panie doktorze! Pan chce mnie przekupić?

– Zgadła pani, panno Drake – odparł z uśmiechem.

– Wtakim razie dostanie pan podwójną porcję.

Patrząc na nich, jak oddalają się do kuchni, Kell pokiwał z zadowoleniem głową. Od czasu koszmarnej randki z tym agresywnym draniem Cappie bała się mężczyzn. Przy Bentleyu nie odczuwała jednak strachu. Może on sprawi, że zagoją się jej emocjonalne blizny?

– Gdzie je postawić? – spytał, gdy opłukał talerze.

– Wzlewie. Później się nimi zajmę.

Rozejrzał się po kuchni. Było tu pusto, stały tylko najpotrzebniejsze meble i sprzęty: stara mikrofalówka, stara kuchenka i lodówka, stół i krzesła kupione chyba na wyprzedaży garażowej.

Śledząc jego wzrok, Cappie uśmiechnęła się smutno.

– Wracając zza oceanu, niewiele zabraliśmy. Większość rzeczy sprzedaliśmy innym żołnierzom, żeby nie płacić za transport. Akiedy Kell został ranny, zaczęliśmy sprzedawać to, co zostało, żeby starczyło na czynsz.

– Nie miał ubezpieczenia zdrowotnego?

Potrzaskała przecząco głową.

– Nie. Z powodu jakiejś pomyłki czy przeoczenia.

Wyjęła z szafki talerzyki do ciasta. Porcelanowy serwis, kupiony jeszcze przez matkę, był jedną z niewielu rzeczy, jakie udało jej się ocalić. Uwielbiała ten wzór w drobne różyczki.

– Szkoda – mruknął Bentley.

Zmarszczył czoło i zadumał się nad tajemniczym bra-

tem Cappie. Przyjaźnił się wprawdzie z tutejszymi eksnajemnikami, było jednak mało prawdopodobne, aby poznał ich w wojsku. Jeśli w ogóle służyli w wojsku, to wiele lat temu. Ostatnio sporo czasu spędzili w Afryce. Kell również tam przebywał. To nie mógł być przypadek czy zbieg okoliczności.

Cappie, jakby zdziwiona panującą w kuchni ciszą, obejrzała się przez ramię.

Kiedy on wodził wzrokiem po jej ślicznej twarzy okolonej długimi jasnymi lokami i zgrabnej figurze, ona przyglądała się jemu. Może nie był olśniewająco przystojny, ale za to znakomicie zbudowany. Dżinsy podkreślały szczupłość bioder, a koszula – doskonale umięśniony tors.

– Gapisz się na mnie – szepnął.

– Masz bardzo ładne uszy – powiedziała.

– Słucham?

Oblała się rumieńcem i podniosła nóż do ciasta. Ten wysunął się jej z ręki. Postąpiwszy krok do przodu, Bentley złapał go, zanim nóż spadł na podłogę. W tym samym momencie Cappie schyliła się. Zderzenie było nieuniknione. Objął ją w pasie, by nie uderzyła głową w blat, i przygarnął do siebie. Wciągnęła powietrze. Bojąc się utraty równowagi, przytrzymała się jego ramienia.

– Dzięki – wydukała. – Czasem jestem taką nedorajdą!

– Nikt nie jest doskonały.

Roześmiała się nerwowo.

– Ja na pewno nie. Gratuluję refleksu.

– Bardzo dziękuję – powiedział niskim, ciepłym głosem, który zabrzmiał jak mruczenie kota.

Popatrzył jej w oczy. Ona zniżyła wzrok, zatrzymując

go na jego ustach. Były pięknie wykrojone. Jakoś nigdy wcześniej nie zwróciła na nie uwagi, teraz zaś nie mogła oderwać od nich spojrzenia.

– Uwielbiam długie włosy – szepnął. – A twoje są wyjątkowo piękne.

– Dziękuję.

– Gęste, lśniące. I takie miękkie. A usta... – Pochylił się. – Usta masz zmysłowe.

Stała bez ruchu, błagając gowducha, aby się nie wycofał. Podobał jej się żar bijący z jego ciała, jego bliskość, siła, wzrost, zapach wody kolońskiej. Półprzymkniętymi oczami wpatrywała się w jego wargi i czekała...

– Co z tym ciastem? – zawołał z salonu Kell.

Odskoczyli od siebie tak gwałtownie, że Cappie niemal się potknęła.

– Już niosę! – Chryste, czy ten dziwny sztuczny głos naprawdę należy do niej?

– Wezmę kawę – oznajmił Bentley i nie patrząc na nią, wyszedł z kuchni. Jego głos brzmiał też nienaturalnie. Kroiła babkę, starając się nie myśleć o pocałunku, do którego prawie doszło. Tak wiele spraw ma na głowie! Nie potrzebuje kolejnych problemów i komplikacji. Ale czy tego dzinna można wepchnąć z powrotem do butelki? Okazało się, że nie można. Ledwo skończyli deser, zadzwonił telefon Bentleya.

– Jedna z rasowych jałówek Cyrusa cieli się po raz pierwszy w życiu. – Bentley skrzywił się. – Przepraszam was, muszę jechać. Kolacja była pyszna.

– Trzeba to kiedyś powtórzyć – rzekł z uśmiechem Kell.

– Następnym razem zabiorę was do jakiejś sympatycznej knajpki.

Cappie tworzyła usta, jakby chciała zaprotestować.

– Odprowadzisz mnie? – spytał gość.

Popatrzyła na brata, błagając go w myślach o ratunek.

Ponieważ Kell nie próbował jej zatrzymać, skierowała się do drzwi. Bentley przystanął na schodkach werandy i w świetle padającym z okna salonu przyjrzał się jej z uwagą.

Przygryzając dolną wargę, nerwowo zastanawiała się, co powiedzieć. Nic sensownego nie przyszło jej do głowy.

– Nie cierpię kobiet – oznajmił w końcu.

– Ojej... – speszyła się.

– A, do diabła. Chodź tu.

Zgarnął ją ramiona i zaczął namiętnie całować. Zaskoczona nie zaprotestowała. Przeciwnie, objęła go za szyję.

Wszystko działo się zbyt szybko, ale nie powiedziała tego.

Poprostu odwzajemniając pocałunek, nie byławstanienic mówić. Po kilkunastu sekundach Bentley uniósł głowę.

– O rety – szepnął.

Usiłowała coś powiedzieć, lecz nie potrafiła.

– Nie patrz tak na mnie.

– Jak?

Roześmiał się.

– Jakbyś oniemiała. Z drugiej strony to miło, że mój pocałunek tak na ciebie działa. – Poglądził ją po policzku.

– To co, widzimy się w poniedziałek?

Skinęła głową.

– Tak, w poniedziałek.

– W klinice?

Ponownie skinęła głową.

– Tak, w klinice.

– Cappie?

Kolejne skinięcie. Bentley wybuchnął śmiechem i jeszcze raz przywarł ustami do jej ust.

– Przez żołądek do serca. Tak twierdzą niektórzy. Ale ta droga jest znacznie szybsza.

Obróciwszy się na pięcie, ruszył do samochodu. Cappie tkwiła bez ruchu na werandzie, dopóki nie znikł jej z oczu. Pewnie tkwiłaby dłużej, gdyby Kell jej nie zawołał. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest zimno, a ona nawet nie ma na sobie swetra.

Trudno jej było skupić się na pracy i nie wodzić wzrokiem za Bentleyem, ilekroć między jednym a drugim pacjentem wyłaniał się z gabinetu. On zaś czuł na sobie jej spojrzenie i usta same składały mu się do uśmiechu. Opamiętała się, kiedy wszyscy w klinice zaczęli chichotać pod nosem, widząc, jak potyka się lub wpada na meble. Opanuj się, nakazała sobie w myślach. Ważni są czworonożni pacjenci, a nie wysoki, barczysty weterynarz, który się nimi zajmuje.

Kilkaminut przed zamknięciem do kliniki wszedł mężczyzna z chłopcem. Mężczyzna niośł okrytego kocem dużego psa, który krwawił i dygotał.

– Mój pies! Ratujcie go! – załkał chłopiec.

– Potrafił go samochód – wyjaśnił zdenerwowany mężczyzna. – Skur... nawet się nie zatrzymał!

Doktor Rydel rzucił okiem na zwierzę.

– Proszę go tu położyć – powiedział, wskazując na metalowy stół. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Obiecuję – rzekł do chłopca.

– Ma na imię Ben. – Chłopiec pociągnął nosem. – Jest moim najlepszym przyjacielem.

Bentley z pomocą Keely obmył psu rany, po czym dokładnie obejrzał zwierzę, usiłując ocenić jego stan.

– Trzeba zrobić prześwietlenie. Keely, zawołaj Billy’ego i przenieście psa do drugiego pokoju.

– Dobrze, panie doktorze.  
– Czy on umrze? – spytał zapłakany chłopiec.  
Bentley zacisnął rękę na jego ramieniu.  
– Nie sędzę, aby Ben doznał wewnętrznych obrażeń.  
Chyba ma złamaną kość, ale muszę to sprawdzić. Potem go zoperuję.  
Mężczyzna towarzyszący chłopcu zasepił się.  
– Czy to wszystko będzie drogo kosztować?  
Chłopiec zaniósł się szlochem.  
– Tydzień temu straciłem pracę – wyjaśnił mężczyzna.  
– A miesiąc temu żona urodziła drugie dziecko.  
– Proszę nie martwić się o koszty – oznajmił kojącym tonem Bentley. – Kilka godzin miesięcznie pracujemy tu charytatywnie. Akurat zmieści się pan w limicie.  
Mężczyzna przygryzł wargę i odwrócił wzrok.  
– Dziękuję, jestem naprawdę bardzo wdzięczny.  
– Wszyscy mamy lepsze i gorsze momenty w życiu.  
Te gorsze mijają. Zobacz pan, będzie dobrze.  
– Ja też bardzo dziękuję – powiedział chłopiec, z zatroskaniem gładząc psa po łbie.  
– Ależ nie ma za co. – Bentley uśmiechnął się. – Lubię psy. A teraz proponuję, żebyście zostawili swój numer w recepcji i wrócili do domu. Operacja trochę potrwa, więc nie ma sensu czekać tu. Zadzwoń, jak będzie po wszystkim.  
– Zadzwoń pan? Naprawdę? – zdziwił się mężczyzna.  
– Oczywiście. Zawsze tak robimy.  
– Nazywa się Ben. – Wierzchem dłoni chłopiec przetarł nos. – Ma wszystkie szczepienia. Co rok wozimy go na badania do przychodni w schronisku dla zwierząt. Czyli z forszą w tej rodzinie zawsze było krucho, ale mimo to troskliwie zajmowali się czworonogiem.

– Zostawimy w recepcji nasz numer – rzekł ojciec chłopca. – Porządny z pana człowiek, doktorze.

– Tak jak powiedziałem, lubię psy. Jedźcie do domu i czekajcie na mój telefon.

– Bądź grzeczny, Ben. – Chłopiec zwrócił się do psa, który skomlał z bólu. – Niedługo po ciebie przyjedziemy. Słowo.

Skinawszy na pożegnanie głową, ojciec pociągnął syna w stronę drzwi.

– Zapłacę za nich – zaoferowała Keely.

– Nie trzeba – sprzeciwił się Bentley. – Czasem rezygnuję z honorarium. Nie zbiednieję.

– Tak, ale...

– Jeżdżę land-roverem. Wiesz, ile taka fura kosztuje? Keely wybuchnęła śmiechem.

– Dobra. Poddaję się.

Billy, technik weterynaryjny, pomógł jej zabrać psa na badanie rentgenem. Do sali zajrzała Cappie.

– Chłopiec, który przed chwilą stąd wyszedł, prosił, żeby ci powiedzieć, że Ben uwielbia masło orzechowe. Kto to jest Ben?

– Nasz pacjent, potrącony przez samochód.

– Biedne psisko. Wiadomo, kto go potrącił?

– Niestety. Gdyby było wiadomo, sam bym zawiadomił Casha Giera.

– Kierowca się nie zatrzymał?

– Nie.

– Nie rozumiem tego. – Cappie zamyśliła się. – W San Antonio miałam kota. Ale musiałam go oddać, zanim się tu przeprowadziłyśmy.

Mówiła o kocie, którego Frank kopnął w łóżko i którego nazajutrz wzięła z sobą do pracy, żeby lekarz go zbadał. Kot był posiniaczony, na szczęście jednak kości miał

niepołamane. Dzień czy dwa później kocisko uciekło z domu; wróciło, kiedy Frank został aresztowany. Przed wyjazdem do Jacobsville Cappie oddała czworonoga. Bała się, że Frank, który poprzysiągł jej zemstę, przyśle jakiegoś kolegę, aby zabił zwierzę. Byłby do tego zdolny.

– Coś się tak zadumała?

– Tęsknię za swoim kotem.

– Kotów jest tu pod dostatkiem – oznajmił Bentley.

– Jeśli się nie mylę, to u Keely w stodole mieszka cała kocia rodzina, a niedawno urodziły się małe. Jeśli poprosisz, na pewno ci jednego podaruje.

Cappie zawahała się.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Kell nie bardzo mógłby się nim zajmować...

Bentley nie nalegał.

– Prędzej czy później twój brat pozna dziewczynę, zakocha się i wyprowadzi z domu.

– Kell? – Otworzyła szeroko oczy.

– Co się tak dziwisz? On ma tylko niesprawne nogi, a nie umysł.

– Masz rację – przyznała. – Twardy z niego gość.

– I świetny gracz.

– Zauważyłam.

– Cappie, przygotowałaś rachunek dla panny Dill?

– zawołała z recepcji doktor King.

Cappie złapała się za głowę.

– Jeszcze nie. Za chwilę go przyniosę.

Czerwieniąc się po uszy, pośpiesznie opuściła salę zabiegową. Sposób, w jaki Bentley na nią patrzył, sprawiał, że serce biło jej szybciej.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Została w pracy po godzinach, by pomóc rozładować kolejkę pacjentów; z powodu niezaplanowanej operacji Bena wszystkosię trochę opóźniło. Naogół operacje wykonywanowczwartki, ale zdarzały się niespodziewane sytuacje, kiedy trzeba było natychmiast przystąpić do działania.

W San Antonio znajdowało się pogotowie weterynaryjne czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale czasem chore czy ranne zwierzę mogłoby nie przeżyć tak długiej jazdy. W nagłych wypadkach lekarze zatrudnieni przez Bentleya zawsze przyjeżdżali do kliniki. Była nawet mowa o przyjęciu czwartego lekarza.

Benowi nastawiono przednią łapę, po czym umieszczono go w specjalnej klatce, dopóki nie miną skutki narkozy. Jeżeli nie pojawią się komplikacje, jutro pies wróci do domu, a jego właściciele dostaną zapas leków i instrukcje co do dalszego postępowania. Cappie cieszyła się, głównie ze względu na chłopca. Zawsze żal jej było dzieci, których ukochane zwierzęta uległy wypadkowi. Oczywiście dorośli też bardzo przeżywali takie sytuacje. Pies czy kot jest członkiem rodziny. Trudno się pogodzić z jego cierpieniem lub – nie daj Boże – śmiercią.

Kell powitał ją w domu z posępną miną.

– Co się stało? – spytała, rzucając na krzesło kurtkę i torbę.

Wzdychając ciężko, odsunął na bok laptopa.

– Miałem telefon z San Antonio, z biura prokuratora okręgowego. Frank Bartlett wyszedł dziś na wolność.

Na samą myśl o tym dniu czuła bolesny ucisk w piersiach. Słowa brata sprawiły, że serce zabiło jej mocniej. Frank poprzysiągł zemstę. Ona zapłaci mu za to, że z powodu jej zeznań trafił za kratki.

– Nie martw się – rzekł łagodnie Kell. – Jesteśmy wśród przyjaciół. Frank musiałby być nienormalny, żeby tu przyjechać i się mścić. Poza karą więzienia dostał jeszcze roczny nadzór sądowy. Nie sądzę, aby zaryzykował powrót do pudła.

– Tak myślisz?

Pamiętała, jakim nieprzejednanym człowiekiem był Frank. Nie puszczał niczego płazem, zawsze wyrównywał rachunki. W klinice w San Antonio pracowała dziewczyna, która przyjaźniła się z siostrą Franka. Opowiadała, jak Frank zepchnął z drogi samochód prowadzony przez faceta, który poinformował policję o groźbach Franka. Mężczyzna został ciężko ranny, ale nie potrafił udowodnić, że to Frank spowodował wypadek. Cappie domyślała się, że nie był to jedyny wypadek, którego Frank był sprawcą. Zresztą sam się przyznał, że jako nastolatek spędził kilka miesięcy w poprawczaku. Nie mówił, za co go tam wysłano.

– W domu jesteś bezpieczna – ciągnął Kell. – Mam broń i umiem się nią posługiwać. Natomiast nie sądzę, aby próbował cię zaczepić w pracy. Bentley wywalił go na zbity pysk.

A do tego, jak wiedziała, jej szef był zdolny. Podobno kiedyś w klinice zjawił się mężczyzna z ciężko rannym psem. Zwierzę miało liczne złamania. Bentley zbadał psa, potem oskarżył mężczyznę o znęcanie się nad zwierzę-

ciem. Mężczyzna zezłościł się i uderzył go; Bentley złapał go za kołnierz, wyrzucił za drzwi i zadzwonił na policję. Brutal został aresztowany i skazany.

Cappie uśmiechnęła się pod nosem.

– Bentley bardzo się irytuje, kiedy ludzie źle traktują zwierzęta.

– Wyobrażam sobie. – Kell zamyślił się. – Ciekawe, co go skłoniło do pójścia na studia weterynaryjne?

– Muszę go kiedyś o to spytać.

– Kiedy zadzwoniłaś, że wrócisz później, zrobiłem na kolację makaron z serem.

Skrzywiła się. Kell parsknął śmiechem.

– Nie bój się. To było danie gotowe, ja je tylko podgrzałem.

– Uff. – Odetchnęła z ulgą. – Jakoś dziś wyjątkowo nie kusi mnie spalenizna.

– Wiem, że nie potrafię gotować, ale kiedyś się nauczę, a wtedy...

– Niektórzy faceci to urodzeni kucharze. Ty do nich nie należysz. Przyrządzę sałatkę, będzie do makaronu.

– Tym się też zająłem. Stoi w lodówce.

Podeszła do wózka i cmoknęła brata w policzek.

– Jesteś najwspanialszym bratem na świecie.

– A ty siostrą. – Poczochnął ją po włosach. – Posłuchaj, mała, jeśli Bentley poprosi cię o rękę, to się zgódź.

Ja sobie dam radę.

– Przecież nie umiesz gotować!

– Ale umiem podgrzewać.

Cappie westchnęła cicho.

– W porządku, ale Bentley nie ma zamiaru mi się oświadczać.

Owszem, lubimy się, ale to nie znaczy, że któregoś dnia padnie przede mną na kolana.

– Musisz go zaprosić i przyrządzić to swoje popisowe

danie z krewetkami. Wiem z bardzo dobrego źródła, że Bentley uwielbia krewetki.

– Tak? A kto jest tym źródłem?

– Cyrus Parks.

Zmarszczyła czoło.

– Usiłowałeś podstępnie wydobyć od Parksa informacje na temat Bentleya?

– Podstępnie? – Kell przybrał niewinną minę. –

A gdzieżbym śmiał?

– Dobra, dobra.

– Zresztą Bentley domyślił się, dlaczego Cyrus dopytuje się o jego ulubione potrawy. I spytał, co jeszcze chciałby wiedzieć.

Cappie zaczerwieniła się.

– O kurczę!

– Cyrus twierdzi, że nasz miły pan doktor więcej mówił o tobie niż o jałowce, która się celiła. Ludzi interesuje, kiedy facet, który rzekomo nie cierpi kobiet, nagle zaczyna się z jakąś spotykać.

– Ciekawe, dlaczego on nie cierpi kobiet?

– Przy okazji go spytaj. A teraz chodźmy jeść, bo w brzuchu mi burczy.

– Nic dziwnego. – Skierowała się do kuchni. – Zazwyczaj siadamy do kolacji dwie godziny wcześniej.

Przepraszam za dzisiejsze spóźnienie.

– Jak pies? – spytał Kell.

– Bentley mówi, że wszystko się ładnie pozrasta. Żebyś widział tego biednego chłopaczka! Żal mi go było, jego ojca też. Facet stracił pracę, niedawno urodziło mu się nowe dziecko, a tu trzeba zająć się psem. Na szczęście Bentley nie policzył mu ani grosza.

– Imponuje mi ten gość.

– Kiedy Keely zaproponowała, że ona pokryje rachun-

nek, przypomniał jej, że jeździ land-roverem. – Roześmiała się. – Doktor King mówiła, że odziedziczył spadek po babce, poza tym sam nieźle zarabia.

– To dobrze. Czyli po ślubie nie będziesz klepać biedy.

Pokazała mu język.

– Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz.

– Ja tam wiem, co mówię. Ten facet jest zakochany po uszy, tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

Uśmiechając się, Cappie nałożyła jedzenie na talerze.

Nawet zdołała odepchnąć od siebie strach spowodowany wyjściem Franka z więzienia. Kell ma rację. Tylko dureń ryzykowałby powrót za kratki.

Wpiątek wieczorem Bentley zabrał ją na festyn. Była zaskoczona nie tylko zaproszeniem, ale też wyborem miejsca.

– Lubisz festyny? – zdumiała się.

– Tak! Uwielbiam kuglarzy, karuzele, watę na patyku!

– Uśmiechnął się z rozrzewnieniem. – Kiedy byłem mały i przyjeżdżał do miasta cyrk, babcia wyciągała zaskórniaki i szliśmy się zabawić. Zawsze mnie dziwi, kiedy ktoś mówi o babciach piekących ciasteczka i cerujących skarpety. Moja była dziennikarką, kobietą pełną fantazji i energii.

Przypomniała sobie tę rozmowę, kiedy wędrowali wśród kolorowych straganów pełnych pluszowych zabawek.

– O czym myślisz?

– O tym, co wczoraj powiedziałaś o swojej babce.

Dużo spędzałaś z nią czasu?

Przez chwilę milczał. Czyżby zadała zbyt osobiste pytanie?

– Przepraszam. To nie moja sprawa...

Przystanął w przejściu między straganami i przyjrzał się jej uważnie. Miała na sobie dżinsy i żółty sweter, włosy opadały jej swobodnie na ramiona. Wyciągnął rękę, by ująć w palce jasny kosmyk.

– Wychowała mnie – odparł cicho. – Moi rodzice nie potrafili się dogadać. Rozstawali się dwa lub trzy razy do roku i kłócili, z kim zamieszkam. Matka bardzo mnie kochała, a ojcu wcale na mnie nie zależało, po prostu chciał jej zrobić na złość. – Twarz mu stężała. – Ilekroć przeszkadzało mu moje zachowanie, wyżywał się na moich zwierzętach. Kiedyś bezczelnie mu odpowiedziałem. Za karę strzelił do mojego psa i nie pozwolił mi zabrać go do przychodni. Wtedy postanowiłem, że sam zostanę weterynarzem.

– Zastanawiałam się nad tym – przyznała Cappie.

– Hm, kilka razy wspomniałeś o matce, nigdy jednak nie mówisz o ojcu. Ani o ojczymie. – Przyłożyła dłoń do jego piersi. Przez cienką bawełnę czuła bijący spod koszuli żar.

Bentley westchnął. Zakrył ręką jej dłoń.

– Ojczym uważa, że weterynarz to niemęski zawód.

– Niemęski? Pewnie nigdy nie próbował powalić na ziemię chorego wołka ważącego kilkaset kilo.

– No nie, nie próbował. Wiesz, przez długi czas miałem do niego żal; pozwolił matce dojść do takiego stanu, że medycyna nie mogła jej uratować. Ale niekiedy oskarżamy ludzi, a winien jest los.

– Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi?

Roześmiawszy się, cmoknął ją w czubek nosa.

– Dlaczego nienawidzisz kobiet?

Uniósł pytająco brwi.

– Wszyscy tak mówią. Zresztą sam się do tego przy-

znałeś. – Oblała się lekkim rumieńcem. Przypomniała sobie bowiem, że zaraz potem ją pocałował.

– Pamiętasz? – spytał cicho. – A ja pamiętam twój niewinny pocałunek.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia.

– Możemy wspólnie nadrobić zaległości – powiedział.

– Ciebie nie nienawidzę.

– To miło, dziękuję. – Popatrzyła na niego spod rzęs. Schylił głowę i delikatnie ujął ją za brodę. Zanim ich usta się zetknęły, z tyłu rozległ się niski głos:

– Za lubieżne zachowanie w miejscu publicznym można trafić za kratki.

– Kilraven! – jęknął Bentley, obracając się twarzą do policjanta w mundurze. – Co ty tu robisz?

Ten uśmiechnął się, zadowolony z konfuzji przyłapanej na gorącym uczynku pary.

– Badam, czy do produkcji waty cukrowej nie użyto nielegalnej podróbki cukru.

– Co takiego? – zdumiała się Cappie.

– Zamierzam też skosztować oblanych syropem jabłek i przekonać się, czy to na pewno prawdziwy syrop. Bentley z Cappie przyglądali mu się tak, jakby oszalał.

– No dobra, jestem już po służbie, tylko nie miałem czasu iść do domu, żeby się przebrać. Uwielbiam festyny

– dodał ze śmiechem. – Mój brat, Jon, i ja ciągle chodziliśmy na nie w dzieciństwie.

– Mają tu strzelnicę.

– Taką, co w nagrodę za celny strzał można wygrać pluszowego misia? – Kilraven prychnął pogardliwie. – Szkoda mojego talentu.

– Co za niebywała skromność – zauważył Bentley.

– To jedna z moich niewątpliwych zalet, a mam ich całe mnóstwo. – Ponad ramieniem Bentleya spostrzegł

Winnie Sinclair, która przyszła na festyn z bratem Boone'em i jego żoną Keely. – Bawcie się dobrze – rzekł, oddalając się wolnym krokiem.

Nie podszedł jednak do urządzenia z watą cukrową, lecz skręcił w bok i opuścił teren festynu.

– Dziwne – mruknęła Cappie, odprowadzając policjanta wzrokiem.

– Wcale nie – rzekł Bentley, wpatrując się w Winnie, która z niepocieszoną miną rozglądała się wkoło. – Winnie Sinclair się wnim durzy, a Kilraven jest jeszcze większym mizoginem niż ja.

Cappie popatrzyła na trójkę Sinclairów. Keely uśmiechnęła się szeroko, Cappie pomachała jej ręką. Winnie skinęła smętnie głową.

– Biedaczka. Śpi na forsie, a jest taka nieszczęśliwa.

– Pieniądze szczęścia nie dają – zauważył Bentley.

– Ale ich brak może mocno doskwierać.

Wziął ją za rękę. Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Nie obchodzi mnie, co myślą inni – stwierdził Bentley.

– Zresztą niech Keely tylko spróbuje robić jakieś aluzje – dodał groźnym tonem.

Cappie wybuchnęła śmiechem.

– Dobra, mnie też nie obchodzą inni.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak często szczerzyłem zęby. Lubię twoje towarzystwo, Cappie.

– Ja twoje też.

Wciąż stali, uśmiechając się do siebie, kiedy nagle

wpadły na nich dwa rozpędzone urwisy. Nastrój prysł.

Bentley odwiózł ją do domu, zgasił silnik i światła, ale nie wysiadł, żeby otworzyć jej drzwi. Zamiast tego odpiął oba pasy, a potem przyciągnął Cappie sobie na kolana.



Zanim zdążyła zaprotestować, przywarł ustami do jej ust, a dłoń wsunął pod sweter. Chciała zaprotestować. Za wcześnie, za szybko. Jego ręka jednak powędrowała wyżej, odpięła stanik, potem zacisnęła się na jej piersi. Cappie poczuła dreszczyk podniecenia.

– Za szybko? – szepnął.

– Nie – odparła, wyginając plecy w łuk.

Uśmiechnął się. Po paru minutach okazało się, że pocałunki i pieszczoty to za mało. Bentley zmienił nieco pozycję, tak by mogli ocierać się brzuchami. Ciszę w samochodzie zakłócał jedynie czyjś pomruk lub jęk rozkoszy.

Czuła, że Bentley jej pragnie. Ona jego też pragnęła.

Niemal płonęła z pożądania. Pierwszy raz doświadczała tak silnych doznań. Rozpiął koszulę; chciał czuć na swoim torsie jej biust. Przytrzymując ją za biodra, wykonywał jej ciałem koliste ruchy. Szyby w samochodzie zaczynały parować.

– O Chryste! – zadrżał. – Cappie...

Wstrząsana dreszczami, wbiła mu w plecy paznokcie.

– Nie przestawaj, błagam...

– Muszę!

Gwałtownym ruchem odepchnął ją na siedzenie pasażera, po czym otworzył drzwi i wysiadł. Oparty tyłem o samochód oddychał głęboko, usiłując odzyskać kontrolę. Cappie zapięła stanik i obciągnęła sweter. Wciąż dygotała. Tak niewiele brakowało... Dzięki Bogu, że zaparkowali na podjeździe przed jej domem, a nie na jakiejś pustej wiejskiej drodze. Wtedy nic by ich nie powstrzymało. Chociaż tak gorliwie zareagowała na jego pieszczoty, w głębi serca była staroświecka. Ciekawe, czy się tego domyślał? Czy może liczył na krótki szalony

romans? Jeśli tak, to nie z nią. Ona się do tego nie nadaje. Ale co dalej? Może nie będzie chciał jej więcej widzieć? A wtedy co z jej pracą? W Jacobsville jest tylko jedna klinika weterynaryjna...

Kiedy siedziała w samochodzie, zadręczając się myślami, nagle drzwi od strony pasażera otworzyły się.

– No dobra, rzuciłaś się na mnie, a ja miałem słabszy moment – powiedział z rozbawieniem Bentley. – Nie obwiniaj się. Przywykłem do kobiet, które próbują mnie uwieść.

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Wsiadaj. Nie dam się zaskoczyć dwa razy jednego dnia. Muszę dbać o swoją reputację.

Wybuchnęła śmiechem. Uff! Przez chwilę sądziła, że Bentley mówi poważnie. Chwyciwszy torebkę i płaszcz, wysiadła z samochodu.

– Posłuchaj – rzekł łagodnie. – To było za szybkie, zbyt nagle. Ale poradzimy sobie, krok po kroku...

– Nie jestem – zawahała się – nowoczesnym typem kobiety.

– A ja mężczyzny. – Pocałował ją delikatnie w usta.

– Wiem, jaka jesteś. Do niczego nie będę cię zmuszał.

– Dziękuję.

– Ale musisz obiecać to samo. Bo wiesz, nie mogę się z tobą spotykać, jeśli za każdym razem będziesz się na mnie rzucać.

Rozciągnęła wargi w uśmiechu.

– Obiecuję.

Odprowadził ją do drzwi.

– Do zobaczenia w poniedziałek. – Przystanął i ujął wręce jej twarzy. Długo się w nią wpatrywał. – To dziwne. Akurat kiedy człowiekowi się wydaje, że nicmu nie grozi, nagle wpada do jaskini lwa.

– Wyjąłeś mi te słowa z ust.

Opuszką palca obrysował jej brodę.

– Nie będziemy się spieszyć – szepnął. – Ale ja znam koniec tej historii. Pasujemy do siebie, a mnie już bokiem wyłazi samotne życie.

Serce o mało nie pękło jej z radości.

– Bentley, chyba... chyba nie umiałabym żyć z kimś na kocią łapę.

Zamknął pocałunkiem jej prawe oko, potem lewe.

– Ja też nie – szepnął. Na jego twarzy malował się wyraz ogromnej czułości. – Porozmawiamy o pierścionkach i obrączkach, ale nie dziś. Mamy przed sobą całe życie.

– Dobrze – odparła rozpromieniona. – Wszystko się tak szybko dzieje...

– Szybko i nieoczekiwanie.

Nie posiadała się ze szczęścia, ale nagle, gdzieś w głębi duszy, poczuła strach, jakby zapowiedź czegoś niedobrego. Przygryzła wargę.

– Tak niewiele o mnie wiesz – zaczęła. – W San Antonio spotykałam się z pewnym mężczyzną...

Zanim zdołała opowiedzieć o Franku, rozległ się dzwonek telefonu, po czym Bentley wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Tu Rydel. – Przez chwilę słuchał w skupieniu. – Proszę przywieźć kota. Będę za dziesięć minut. Tak. Do zobaczenia.

– Rozłączył się. – Muszę iść.

– Jedź ostrożnie.

Ruszył biegiem do land-rovera, przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał, machając na pożegnanie. Przez chwilę Cappie patrzyła na oddalający się samochód, potem obróciła się i weszła do domu szeroko uśmiechnięta.

W poniedziałek rano nadal była w siódmym niebie. Zważywszy na namiętne pieszczoty i pocałunki w samochodzie, spodziewała się, że Bentley odezwie się do niej w sobotę lub w niedzielę, ale nie dał znaku życia. Może był zajęty? W każdym razie miała nadzieję, że nie zmienił swojego nastawienia do niej. Tego by nie zniosła. Chociaż nie, na pewno nie zmienił. Byli sobie pisani. Na zawsze. Wiedziała to ponad wszelką wątpliwość.

Dlatego przeżyła szok, kiedy weszła uśmiechnięta do kliniki, a on powitał ją lodowatym spojrzeniem.

– Spóźniła się pani, panno Drake – oznajmił. – Na przyszłość proszę zjawiać się punktualnie.

Poczuła się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Keely, która stała za ladą, popatrzyła na nią współczująco.

– Przepraszam – wydukała Cappie.

– Proszę pomóc Keely przy rentgenie – rzekł, wracając do swojego gabinetu.

Odwiesiwszy torebkę i płaszcz, Cappie ruszyła za Keely do pokoju na zapleczu, w którym stały klatki z chorymi zwierzętami. Po drodze wyjęła z kieszeni gumkę i związała włosy w koński ogon. Czuła przeraźliwą pustkę.

– Chodzi o kota pani Johnson – wyjaśniła Keely. – Nadepnęła mu na łapkę. Łapka jest strasznie spuchnięta. Doktor Rydel podejrzewa złamanie, tym bardziej że pani Johnson to nie waga piórkowa.

– To prawda.

– Zostawiła kota u nas, a sama poszła z wizytą do kardiologa. Niedawno miała zawał. Bardziej się przejmuje stanem swojego kota niż serca.

Keely otworzyła klatkę, z której Cappie wyciągnęła starego kocura. Zwierzę zaczęło głośno mrużyć. Nawet nie próbowało jej ugryźć, choć widać było, że cierpi.

- Och, jaki on miły – powiedziała Cappie, przenosząc zwierzę do sali rentgenowskiej. – Myślałam, że będzie się wyrywał albo drapał.
- Nie, to kochane kocisko. – Wskazując na stół, Keely zamknęła drzwi. – Co ugryzło doktora? – spytała szeptem.
- Wygląda jak chmura gradowa.
- Nie mam pojęcia. W piątek, kiedy byliśmy na festynie, humor mu dopisywał.
- Pokłóciliście się?
- Nie. – Cappie chciała nawet dodać, że rozmawiali o obrączkach, ale ugryzła się w język. Nie był to odpowiedni moment, poza tym po dzisiejszym krótkim spotkaniu miała wrażenie, jakby piątkowa rozmowa jej się przyśniła.

Zrobiły prześwietlenie. Keely przystąpiła do wywołania zdjęcia, a Cappie odniosła kota do klatki. W ciągu dnia doktor King zerknęła na nią z z troskaniem. O nic nie pytała, zresztą nie było czasu na pogaduszki. Cappie czuła się paskudnie. Nie była w stanie pojąć, dlaczego Bentley Rydel przeobraził się w jej wroga.

Cały dzień się nad tym głowiła. Oczywiście nie zaniedbywała obowiązków. Zajmowała się chorymi czworonogami, pocieszała ich przejętych opiekunów. W południe, zalewając się łzami, pani Johnson przyszła po swojego futrzanego przyjaciela, który czekał na nią z łapką w gipsie. Cappie przytrzymała kobiecie drzwi i chociaż wcale nie była w radosnym nastroju, uśmiechnęła się do niej na pożegnanie. Liczyła na to, że w którymś momencie Bentley zaprosi ją do swojego gabinetu, coś wyjaśni. Tymczasem on traktował ją tak jak na samym początku ich współpracy. Pod koniec dnia ociągała się zwyjściem; miała nadzieję,

że jednak zdołają porozmawiać. Ale kilka minut przed zamknięciem kliniki Bentley dostał wezwanie na farmę. Co było robić? Niepocieszona wróciła do domu.

– Wyglądasz, jakby zawałił ci się świat – powiedział Kell, kiedy weszła. – Co się stało?

– Nie wiem – odparła. – Bentley patrzył na mnie, jakbym się nabawiła jakiejś zakaźnej choroby. Przez cały dzień nie powiedział ani jednego miłego słowa.

– W piątek, kiedy przyjechał po ciebie, wydawał się normalny.

– Hm, może nagle ogarnął go strach?

– Może – przyznał brat, spoglądając na jej smutną twarz. – Wszyscy twierdzą, że był największym mizoginem w mieście. Ale może potrzebuje czasu? Jeśli mu na tobie zależy, na pewno pokona swoją niechęć i lęki.

– Tak myślisz? – spytała z nadzieją w głosie.

– Tak. Przecież dotąd zachowywał się normalnie; nie zacząłby bez powodu nagle szczerzyć kłów. Może po prostu miał zły weekend?

Jeśli nawet, to nie powinien wyżywać się na życzliwych mu osobach, pomyślała Cappie. Z drugiej strony prawie nie znała Bentleya; nie wiedziała, czego tak naprawdę można się po nim spodziewać.

– Może uda nam się jutro porozmawiać.

– Na pewno się uda – odparł Kell.

– Dobra, pójdę zrobić kolację.

– I nie martw się.

– Nie będę – obiecała.

Ale nie dotrzymała słowa. Całą noc wierciła się niespokojnie, wogóle nie zmrzyła oka. Nazajutrz pojechała do pracy trapiąca złym przeczuciem.

Kiedy weszła do kliniki, Bentley stał za ladą recepcji.

– Jestem pięć minut przed czasem – powiedziała, kiedy łypnął na nią gniewnie.

– Przyjdź do mojego gabinetu.

Rozpromieniła się. Nareszcie dowie się, o co chodzi.

Cokolwiek to jest, na pewno nie ma z nią nic wspólnego.

Przepuścił ją przodem i zamknął drzwi. Nie zaproponował,

by usiadła. Przycupnąwszy na krawędzi biurka,

zmierzył ją od stóp do głów.

– Wsobotę rano miałem gościa – rzekł.

– Tak? – Pewnie dawna dziewczyna, przemknęło Cappie przez myśl, z którą chce się ponownie zejść.

– Tak. Odwiedził mnie twój chłopak.

– Mój co?

– Twój chłopak. Frank Bartlett – oznajmił lodowatym tonem Bentley.

Zrobiło jej się słabo. Frank przyjechał do Jacobsville?

Żeby nie upaść, chwyciła się oparcia krzesła. Psiakrew, powinna była powiedzieć o nim Bentleyowi.

– To mój były chłopak – zaczęła.

– Czyżby? On twierdzi coś zupełnie innego.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mogła sobie wyobrazić, co Frank nagadał Bentleyowi.

Nic dziwnego, że ten był wściekły.

– Wszystko ci wytłumaczę...

– Wspomniałaś, że w San Antonio spotykałaś się z jakimś mężczyzną – rzekł chłodno. – Nie wchodziłaś w szczegóły. Nie szkodzi. Bartlett był uprzejmy mnie z nimi zapoznać. Oskarżyłaś go o pobicie, przez ciebie spędził czas w więzieniu. Odtąd w jego papierach widnieje informacja, że był karany.

Wytrzeszczyła oczy.

– Tak, ale wszystko wyglądało inaczej...

– Znam takie kobiety jak ty i wiem, do czego są zdolne

– przerwał jej. – Będąc na studiach, dorabiałem do stypendium pracą u weterynarza. Pracowała tam również ładna dziewczyna, była technikiem weterynaryjnym, z którą nikt się nie umawiał na randki. Było mi jej żal. Któregoś weekendu została dłużej w pracy, zaczęła mnie uwodzić, no i pocałowałem ją. A wtedy ona najspokojniej w świecie rozdarła bluzkę, potargała włosy i wezwała policję.

Cappie poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Ja pracowałem na pełnym etacie, ona na pół. Postanowiła mnie wygryźć – kontynuował Bentley. – Wszystkie

swoje oszczędności wydałem na prywatnego detektywa.

Facet wykrył, że dziewczyna już kilka razy odegrała

podobne przedstawienie. Skończyło się tym, że ją

aresztowano, a mnie oczyszczono z zarzutów. Weterynarz

przyjął mnie z powrotem do pracy, a potem latami

usiłował wynagrodzić mi krzywdę.

– Nie wiedziałam...



– Jasne, że nie. Gdybyś wiedziała, nie próbowałabyś wyciąć tego samego numeru.

– Słucham?

– Ciągłe mówiłaś o pieniądzach. Co byś z nimi zrobiła, na co je przeznaczyła. Wiedziałaś, że jestem bogaty. Zamierzałaś mnie oskarżyć o napaść lub coś w tym stylu, prawda?

Nie wierzyła własnym uszom. Bentley Rydel sądził, że zainteresowała się nim z powodu zawartości jego portfela. Frank naopowiadał mu bzdur, a on, raz oszukany przez dziewczynę, uwierzył w jego bajeczkę.

– Nigdy nikogo fałszywie nie oskarżyłam.

– Frank Bartlett był pierwszy?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Złamał mi rękę. Wcześniej też zdarzało mu się mnie uderzyć.

– Mówił mi, że tak powiesz. Biedny facet. Zniszczyłaś mu życie. Ale nie pozwolę ci zniszczyć mojego. Daję ci dwutygodniowe wypowiedzenie.

– Wyrzucasz mnie z pracy?

– Nie. Odejdiesz na własne życzenie. – Na moment zamilkł. – Kobiety, psiakrew! Wyglądacie tak niewinnie, a łżecie jak z nut. – Zeskoczył z biurka i podszedł do drzwi. – Proszę wracać do pracy, panno Drake.

Wszystkie czynności wykonywała mechanicznie, nawet się uśmiechała, kiedy stary pan Smith opowiadał dowcipy, a doktor King rzucała ironiczne komenta-

rze. Keely co rusz spoglądała na nią ukradkiem, ale nikt inny nie zauważył nic podejrzanego w jej zachowaniu. Po pracy niemal z ulgą wsiadła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Wciąż nie mieściło się jej w głowie, że Bentley uwierzył Frankowi. Zamierzała coś w tej sprawie zrobić, tylko jeszcze nie wiedziała co.

Wróciła do domu. Zdziwiła się na widok kolorowej szmaty na schodach prowadzących na werandę. Czyżby Kell wziął się za porządki?

Nagle przeraziła się. Zgasiła silnik, wyskoczyła z auta i ile sił w nogach pognała w stronę drzwi. To nie szmata leżała na werandzie, to Kell! Był nieprzytomny, zakrwawiony. Obok stał zniszczony wózek inwalidzki. Trzęsąc się ze zdenerwowania, zaczęła szukać pulsu. Znalazła! Dzięki Bogu! Przynajmniej Kell nadal żyje.

Drzwi do domu były szeroko otwarte. Bała się wejść do środka. A nuż ktoś się tam czai? Pognała do samochodu, wyciągnęła z torebki telefon komórkowy i wystukała numer policji. Potem usiadła obok brata i czekała.

Niewiele kojarzyła. Słyszała jadące na sygnale radiowozy, karetkę, widziała niebieskie mundury, białe fartuchy lekarskie, pamiętała własne przerażenie. Ale to wszystko.

Czekała w napięciu, aż doktor Micah Steele powie jej, w jakim stanie znajduje się Kell. Była bliska obłądu.

Jeśli Kell umrze...

Micah, wysoki, poważny blondyn, wyszedł do poczekalni kilka minut po tym, jak przywieziono Kella do szpitala.

– I co z nim?

– Został brutalnie pobity, o czym wiesz. Całe plecy ma fioletowe. Wciąż przeprowadzamy badania, natomiast dobra wiadomość jest taka, że zyskał odrobinę czu-

cia w nogach, czyli przypuszczalnie szrapnel, jaki tkwił w jego kręgosłupie, przesunął się. Jeżeli badania to potwierdzą, przetransportujemy go do San Antonio. Mam tam przyjaciela, chirurga ortopedycznego, który podejmie się operacji.

– To znaczy, że może Kell znów będzie chodził?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Tak. Ale na razie martwię się czym innym. Powiedział, że zbójów było trzech. Jeden to ten facet, z którym miałaś już wcześniej problemy, Frank Bartlett.

– Chryste! Przyszedł do człowieka na wózku z bandą koleżków? Odważna gnida!

– Szeryf wystawił list gończy za całą grupą – powiedział Micah. – Ale dopóki ich nie złapie, nie możesz mieszkać sama.

– Jeśli Kell trafi do szpitala w San Antonio, zadzwonię do przyjaciółki, która pracuje w tamtejszej przychodni. Na pewno będę mogła się u niej zatrzymać.

– To nie wystarczy. Musisz mieć profesjonalną ochronę. Cappie uśmiechnęła się.

– Jej brat jest stróżem prawa. Mieszkają pod jednym dachem.

– A to co innego.

– Zaraz do niej zadzwonię, jak tylko zobaczę Kella.

– Badania potrwać jeszcze ze dwadzieścia minut. Ale nic mu nie będzie.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Lubię Kella.

– Ja też!

Zadzwoniła do Brendy Banks w San Antonio. Brat Brendy, Colter, był Strażnikiem Teksasu. Z początku

pracował poza Houston, dopóki jego najlepszy przyjaciel, policjant, nie zginął od kuli, próbując przeszkodzić w napadzie na bank. Wówczas Colter poprosił o przeniesienie do KompaniiDTexas Rangers mającej siedzibę wokół Bexar i zamieszkał z siostrą. Specjalizował się w rozwiązywaniu starych spraw.

– Jak ci się podoba nowa praca? – spytała Brenda, słysząc na drugim końcu linii głos przyjaciółki.

– Bardzo. Powiedz, czy wciąż masz wolny pokój i czy miejscowa przychodnia weterynaryjna nie potrzebuje jeszcze jednego pracownika?

– Ojej, co się stało?

– Frank wyszedł z więzienia. Wraz z dwoma kumplami przyjechał do Jacobsville i niemal zatłukł Kella na śmierć. Kell będzie przewieziony do San Antonio na operację kręgosłupa. Chciałabym tam przy nim być. Tutejsza policja twierdzi, że powinnam mieć profesjonalną ochronę, a skoro Colter mieszka z tobą pod jednym dachem...

– Och, bidulo! Możesz siedzieć u mnie, ile chcesz!

– zawołała Brenda. – Tyle że Colter się wyprowadził, ma własne lokum, a poza tym akurat wyjechał służbowo za granicę. Co z Kellem? Nic mu nie będzie, prawda?

– Jest poobijany i posiniaczony. Ale kawałek pocisku, który tkwił w jego plecach, nieznacznie się przesunął. Operacja chyba wreszcie będzie możliwa.

– Szczęście wnieszcęściu. Aco z tobą? Bo Frank nie przyjechał tylko po to, żeby przywalić Kellowi?

– Pewnie mnie szukał – odrzekła smętnie Cappie.

– Na razie popsuł moje relacje z szefem tutejszej kliniki, który wywalił mnie z pracy.

– Spytam doktora Lammersa, czy nie przyjąłby cię na pół etatu. Wszyscy za tobą tęsknią. Nowej dziewczynie, którą przyjęto na twoje miejsce, brakuje twojego zaan-

gazowania, ciągle bierze wolne. Przyjeżdżaj, skarbie.

Wiesz, gdzie trzymam zapasowy klucz.

– Dzięki przeogromne, Brenda. – Chociaż próbowała się nie rozkleić, głos Cappie się załamał.

– Nie płacz, kochanie – powiedziała cicho przyjaciółka.

– Pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć.

Cappie z trudem przełknęła ślinę.

– No, bądź dzielna. A ja już dzwonię do Lammersa.

Cappie wróciła do szpitalnej poczekalni. Smutna i osowiała, siedziała na krześle, czekając, aż lekarze skończą badać Kella. Chciała poznać ich decyzję, a potem porozmawiać z bratem. Parę minut później z zadumy wyrwał ją Micah Steele.

– Moim zdaniem operacja jest możliwa. Wysyłam Kella do San Antonio. Helikopterem. Będzie szybciej, no i mniejsza szansa, żeby szrapnel znów zmienił położenie. Możesz wejść do brata, ale tylko na minutę. Aha, chcesz z nim lecieć?

– Chętnie.

Micah Steele skinął w stronę pokoju.

– Jest tam Cash Grier. Chce z tobą pogadać.

– Dobrze. I bardzo dziękuję.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Cash Grier z posępną miną opierał się o parapet. Kell wyglądał okropnie, ale uśmiechnął się, kiedy pocałowała go w policzek.

– Doktor Steele uważa, że operacja jest możliwa – powiedziała.

– Podobno. Nie wiem, jak za nią zapłacę, ale może szpital zgodzi się, żebym płacił ratami.

– Nie martw się o pieniądze, twoje zdrowie jest ważniejsze.

Wrazie czego sprzedamy samochód.

– Jasne. – Roześmiał się pod nosem. – Starczy na kilka opakowań aspiryny.

– Och, przestań! – skarciła go. – Wszystko się ułoży.  
Cześć, szeryfie – zwróciła się do Casha.  
– Bartlett przyjechał zemścić się na tobie – oznajmił  
bez ogródek szef policji. – I na pewno nie odpuści. Wie, że  
za to, co zrobił Kellowi, wróci do więzienia. Ale zanim  
tam trafi, będzie próbował dopaść ciebie.  
– Lecę z Kellem do San Antonio. Zamieszkać u przyjaciółki.  
Jej brat pracuje w Texas Rangers. – Nie wspomniała,  
że Colter przebywa akurat poza Stanami. Przecież  
Cash tego nie sprawdzi. Zastanawiała się jednak, czy  
wprowadzając się do Brendy, nie narazi przyjaciółki na  
niebezpieczeństwo.  
– Coltera nie ma w kraju, a Brenda nie posiada broni  
– oznajmił z kamienną miną Cash. Widząc zdziwienie na  
jej twarzy, dodał: – Znam Coltera. Kiedyś też pracowałem  
jako strażnik. Lepiej, żebyś nie narażała Brendy.  
– Właśnie się nad tym zastanawiałam – przyznała  
Cappie. – Co mam zrobić?  
– Zatrzymasz się w hotelu koło szpitala. Zapewnimy  
ci ochronę.  
– Stąd kogoś wyślesz?  
– Nie. Eb Scott przydzielili ci dwóch swoich ludzi. Jeden  
właśnie wrócił z Bliskiego Wschodu, drugi czeka na  
nowe zlecenie.  
– Najemnicy? – spytała cicho.  
– Owszem.  
Na jej twarzy odmalował się strach.  
– Ale nie tacy jak w filmach – zapewnił ją szybko  
Kell. – Ludzie Eba mają zasady moralne, walczą o wolność,  
o demokrację, nigdy dla pieniędzy.  
– Znasz ich?  
Kell zawahał się.  
– Ja ich znam – odrzekł Cash. – I mam do nich pełne

zaufanie. Zapewnią ci doskonałą ochronę. Przekażę im, żeby czekali na ciebie w szpitalu.

– Muszę zadzwonić do kliniki i powiedzieć, co się stało.

– Wszyscy już wiedzą. To znaczy wszyscy oprócz twojego szefa – dodał. – Rydel poleciał do Denver, chodzi o jego ojczyzna.

– Aha. – Może to i lepiej, pomyślała Cappie. Przynajmniej się więcej nie zobaczą. Kell nie wiedział, że Bentley wyrzucił ją z pracy, ale nie był to odpowiedni moment, żeby go o tym informować. – A co z naszym domem?

– Kell dał mi klucze – odparł szeryf. – Przekażę je Keely. Ona pogasi światła, wyłączy lodówkę, zamknie drzwi.

– Nie chcę tam więcej mieszkać – powiedziała Cappie do brata.

– Nie podejmujemy na razie żadnych decyzji. – Nagle Kell wykrzywił się z bólu. – Cholera, lepiej było, jak nic nie czułem.

– E tam, spodoba ci się chodzenie. Swoją drogą to niesamowite, że szrapnel się przesunął.

– Prawda? – Uśmiechnął się. – A teraz o nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

– Rick Marquez dopilnuje, żeby każdy gliniarz w San Antonio znał rysopis Bartletta – wtrącił Cash. – Poza tym rozmawiał ze swoim kumplem, który jest dziennikarzem. Wkrótce twój eks będzie tak sławny, że jak tylko wyjdzie na ulicę, rzuci się na niego tłum.

– Serio? Dlaczego?

– Nie wspomniałem, że jest nagroda za jego schwytanie? Zrobiliśmy zrzutkę.

– Zrzutkę?

– Powinnaś wrócić do Jacobsville, Cappie. To dobre miasto. I mieszkają tu dobrzy ludzie.

– Dobrzy ludzie oraz doktor Rydel! Chcę być jak najdalej od niego!

Cash z Kellem wymienili spojrzenie.

– Ale oczywiście Kell, jak odzyska sprawność, może tu dalej mieszkać.

– Musimy pogadać, Cappie – powiedział brat. Jeszcze wczoraj Cappie była zakochana po uszy. Co się stało?

– Czym ci się Bentley naraził?

– Nie teraz – poprosiła. – Jutro pogadamy.

– Jutro pewnie będę operowany.

– W takim razie o wszystkim ci opowiem, kiedy będziesz leżał nieprzytomny. O której ruszamy?

Kell otworzył usta. Chciał zaprotestować, nalegać na rozmowę tu i teraz, ale lekarze dali mu środki przeciwbólowe i powoli robił się senny.

– Jak tylko przyleci helikopter. Niczego nie potrzebujesz z domu? Cash mógłby cię podrzucić...

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, mam przy sobie wszystko: torebkę, komórkę.

Aha, klucz... – Zdjęła go z kółka i wręczyła Cashowi.

– Może przyda ci się drugi.

– Wporządku. – Odsunął się od okna. – Cappie? Nie przejmuj się. Kell ma rację: będzie dobrze.

– Dzięki. Jesteś wspaniałym szefem policji.

– No widzisz? Kolejny powód, aby wrócić do Jacobsville.

– Wtej kwestii nie dojdziemy do porozumienia – rzekła.

– Chyba że wsadzisz Bentleya Rydela za kratki, a klucz do jego celi wrzucisz do rwącej rzeki.

– Nie mogę. To najlepszy weterynarz w okolicy.

– Fakt – przyznała.

Dla Cappie podróż helikopterem stanowiła fascynują-



ce przeżycie. Nigdy wcześniej nie latała, chociaż miała brata w wojsku, a zatem i okazję, by wznieść się nad ziemię. Ale zwyczajnie w świecie się bała. Teraz wiedząc, że Kell leci na operację, która może przywróci mu sprawność w nogach, pokonała swój lęk. Siedziała w fotelu; uśmiechała się do personelu medycznego, ale z nikim nie rozmawiała. Odechciało jej się rozmów czy kontaktów z płcią męską na najbliższe dwadzieścia lat. Marzyła tylko o tym, aby Kell znów mógł chodzić. I żeby pojmano Franka Bartletta, zanim wróci dokończyć to, co zaczął. Kiedy trzy dni później Bentley Rydel wkroczył do kliniki, był jeszcze bardziej zirytowany niż przed wyjazdem. Jego ojczym przeszedł udar; przeżył, ale pół ciała miał sparaliżowane. Bentley umieścił go na czas nieokreślony w domu opieki, następnie odszukał jego młodszego brata i opłacił mu lot do Denver; niech się zajmie bratem. Tego wszystkiego nie dało się jednak załatwić w jeden dzień. Ale nie to psuło mu humor, tylko sprawa z Cappie. Dlaczego był takim idiotą? Dlaczego nie uważał i zaangażował się emocjonalnie? Czy jedna nauczka to za mało? Klinika była zamknięta; do otwarcia brakowało jeszcze dziesięciu minut. Jednakże wszyscy pracownicy stali stłoczeni przy recepcji i wszyscy patrzyli na niego tak, jakby wynalazł trąd. Uniósł pytająco brwi.

– Co się dzieje? Cappie podała mnie do sądu, bo kazałem jej złożyć wymówienie? – Jego głos ociekał sarkazmem.

– Nie – odparła doktor King. – Cappie jest w San Antonio ze swoim bratem. Jej były facet razem ze swoimi kolegami niemal zatłukł Kella na śmierć.

Bentley zbladł jak ściana.

– Co takiego?

– Cappie dostała ochronę policji. Funkcjonariusze pilnują, żeby nie spotkał jej ten sam los co brata – dodała Keely. – Szeryf Carson sprawdził przeszłość Bartletta. Ten drań wielokrotnie znęcał się nad kobietami, ale dopóki Cappie nie oskarżyła go o pobicie, inne ze strachu siedziały cicho. Oczywiście ona też nie miała ochoty składać zeznań; brat ją zmusił, kiedy wyszła ze złamaną ręką, ze szpitala. Twierdzi, że pewnie by nie przeżyła, gdyby Kell nie rąbnął Bartletta czymś w głowę.

Bentleyowi zrobiło się ciemno przed oczami. Chryste, a on uwierzył temu bydlakowi! Jak mógł postąpić tak haniebnie? Jak mógł podejrzewać Cappie o oszustwo? Była ofiarą! A on stanął po stronie kata i wyrzucił ją z pracy.

– Gdzie ona jest? – warknął zły na siebie.

– Prosiła, żeby ci nie mówić – oznajmiła doktor King.

– Nie chce cię więcej widzieć. Wróciła do swojej dawnej pracy w San Antonio.

No tak, pomyślał; nic dziwnego, że Cappie postanowiła zostać w San Antonio. Sam się do tego przyczynił. Po Franku trudno było jej zaufać innemu mężczyźnie. Jemu, Bentleyowi, zaufała. Była słodka, urocza, niewinna. A on ją skrzywdził, i to bez powodu.

Spojrzał na zegarek.

– Dobra, bierzmy się do roboty.

Wszyscy posłusznie zajęli się pracą. Bentley udał się do swojego gabinetu, zamknął drzwi i podniósł telefon.

– Słucham? – Na drugim końcu linii odezwał się Cyrus.

– Gdzie Cappie?

– Jeśli ci powiem, będę musiał zmienić nazwisko i zamieszkać w obcym kraju.

– W porządku. Kupię ci przebranie, brodę, wąsy...

Cyrus parsknął śmiechem.

– No dobra. Ale nie mów jej, że wiesz ode mnie.

– Jasna sprawa.

Była wykończona. Ani na moment nie opuściła poczekalni; czekała, aż się skończy operacja, a ta trwała długo.

Bolały ją wszystkie kości. Podejrzewała, że specjalnie wybrano takie fotele, aby nikomu nie chciało się w nich siedzieć dłużej niż kilka minut. A tym bardziej w nich spać lub choćby drzemać.

Obok niej siedziało dwóch wysokich posepnych mężczyzn.

Jeden, o ciemnych włosach i ciemnych oczach, ani razu się nie uśmiechnął. Drugi, blondyn o długich włosach związanych w kucyk, jedno oko miał koloru piwnego, drugie zaś przysłonięte opaską. Pirat, przedstawił się, żartując ze swojego kalectwa.

Nie znała ich imion ani nazwisk.

Wcześniej w ciągu dnia zajął detektyw Rick Marquez, by wypytać ją o rodzinę i przyjaciół Franka. Wiedziała, że Frank ma siostrę, ale to wszystko; jego znajomych nigdy nie spotkała. Detektyw Marquez wydał się jej bardzo przystojny. Zastanawiała się, dlaczego wciąż jest kawalerem.

Zapewnił ją, że zrobi wszystko, aby wytropić Bartletta.

Jego przyjaciel, dziennikarz, poda w telewizji rysopis tego bandyty i poprosi widzów o pomoc. Wyznaczono nagrodę wysokości dwóch tysięcy dolarów za informacje,

które doprowadzą do aresztowania i skazania Bartletta.

Brenda towarzyszyła przyjaciółce. Siedziała z nią w poczekalni, dopóki nie zadzwoniono z przychodni, że jest potrzebna do pilnej operacji psa. Obiecała wrócić najszybciej, jak się da. Była niepokieszona, że Cappie nie zamieszkała u niej. Przecież mogłaby pożyczyć broń

i wpakować kulkę w tego potwora, gdyby tylko się zbliżył do ich domu.

Słyszając to, Cappie uśmiechnęła się. Policja ma rację, powiedziała; nie powinna narażać Brendy na zagrożenie. Zresztą sama ma doskonałą ochronę. Brenda popatrzyła z zaciekawieniem na dwóch siedzących nieopodal mężczyzn. Gdyby była zbirkiem, nie chciałaby zależeć im za skórę. Blondyn z kucykiem wyszczerzył do niej zęby. Po wyjściu Brendy Cappie została ze swoimi dwoma towarzyszami; inni ludzie wchodzili i wychodzili, a ona czekała i czekała. Piła jedną kawę za drugą i starała się nie myśleć o strachu. Och, żeby tylko Kell odzyskał władzę w nogach!

Wreszcie w poczekalni pojawił się ubrany w zielony fartuch lekarz, który operował Kella.

– Usunęliśmy odłamek – oznajmił z uśmiechem. – Teraz musimy uzbroić się w cierpliwość. Ale wierzę, że wszystko będzie dobrze.

– Dzięki Bogu! – szepnęła Cappie, nie kryjąc łez.

– Nawet pan nie wie, jak się cieszę!

– Proszę iść do domu i się porządnie wyspać. Wygląda pani jak śmierć.

– Tak, zaraz pójdę. Dziękuję, doktorze Sims. Bardzo dziękuję!

– Bardzo proszę. I niech pani zostawi u pielęgniarek swój numer telefonu. Zadzwoń, gdyby była nam pani potrzebna.

– Oczywiście.

Wraz ze swoimi dwoma towarzyszami, którzy uważnie rozglądali się na boki, podeszła do dyżurki.

– Jestem siostrą Kella Drake’a. Pan doktor prosił, żebym na wszelki wypadek zostawiła swój numer telefonu.

– Doskonale – powiedziała drobna brunetka.

Cappie podyktowała jej numer komórki.

– Cały czas będę ją miała przy sobie.

Brunetka popatrzyła z zaciekawieniem na jej straż przyboczną.

– Ci panowie są ze mną – wyjaśniła Cappie i pochyliwszy się, dodała teatralnym szeptem: – Grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo; muszę ich chronić.

Obaj łypnęli na nią groźnie. Brunetka z trudem powstrzymała śmiech.

– Dobra, chłopaki. Możemy iść – powiedziała Cappie.

Pirat przepuścił ją przodem. Obróciwszy się, mrugnął do brunetki, która zarumieniła się po czubki uszu.

– Ona? Musi nas chronić? – mruknął pod nosem Ponurak.

– Przed czym? Przed ukąszeniem komara?

– Zaraz ci pokażę, jak komar kąsa.

– Nie kłóćmy się – powiedział uspokajającym tonem Pirat, kiedy czekali na windę.

– Kto się kłóci? Ja się nie kłócę. To ona ma jakieś problemy – drugi nie dawał za wygraną.

– Ona? Ona nie ma żadnych problemów – poinformowała go Cappie.

Ponurak popatrzył wyczekująco na Pirata.

– Nie mieszam się do rodzinnych kłótni – oznajmił jednooki.

– Ona nie jest moją rodziną!

– Pewnie nie. Ale skąd możesz mieć pewność? Porównywaliście swoje DNA?

– Z tobą też nie jestem spokrewniony.

– Nie? Skąd wiesz?

– Bo jesteś zbyt paskudny, aby być moim kuzynem.

– No proszę. I kto tu mówi o urodzie?

– Poza tym twoja matka się dziwnie ubiera!

Cappie stała z rozdziawionymi ustami. Nie podejrze-

wała swoich ochroniarzy o tak osobliwe poczucie humoru.

– Nigdzie z wami nie pójdę – oznajmiła – bo popłaczę się ze śmiechu.

– To moja wina, że on jest taki brzydki? – spytał Ponurak.

– Ja tylko stwierdzam fakt.

– Wcale nie jest brzydki. – Cappie postanowiła bronić Pirata. – Jest... jedyny w swoim rodzaju.

Jednooki błysnął w uśmiechu zębami.

– Ożenisz się ze mną? Mam w szufladzie parę obrączek.

Cappie pokręciła głową.

– Przykro mi. Nie mogę.

– Dlaczego?

– Mój brat nie pozwala mi spotykać się z brzydkimi mężczyznami.

– Przed chwilą powiedziałaś, że nie jestem brzydki!

– Skłamałam.

– Mogę sobie zoperować nos.

Zmarszczyła czoło. Akurat nos miał bardzo ładny.

– Ja ci go wyprostuję piąchą – zaoferował jego kumpel.

– Żebym ja ciebie nie wyprostował.

– Tylko mi się tu nie bić – rozkazała Cappie. – Bo w trójkę trafimy do pudła.

– Skąd niektórzy z nas niedawno uciekli. – Ponurak popatrzył znacząco na Pirata.

– Wcale nie uciekłem. Zostałem wypuszczony z uwagi na swoje wyjątkowo szlachetne rysy.

– Wyjątkowe to one są, ale niekoniecznie szlachetne.

– Przestańcie się kłócić, bo zaproszę na noc przyjaciółkę i wtedy wy dwaj wylądujecie razem na jednej kanapie.

– To już lepiej mnie zastrzel – mruknął Pirat. – Nie

zamierzam z nim nigdzie lądować, a zwłaszcza na kanapie.  
Co jeśli ma wściekлизnę?

Drzwi windy rozsunęły się, kiedy ochroniarze prowadzili z sobą tę pasjonującą dyskusję, i ze środka wysiadł doktor Bentley Rydel.

– Nie ma – rzekł, zwracając się do Pirata.

– Skąd pan wie?

– Jestem weterynarzem.

– Ruszajmy – powiedziała Cappie, unikając wzroku Bentleya.

– My? – Ściągnął brwi.

– To moi nowi przyjaciele – rzekła chłodno. – Mieszkamy w jednym apartamencie.

Wiedział, że nic jej z tymi mężczyznami nie łączy.

Domyślał się, kim są i dlaczego towarzyszą Cappie.

– Słyszałem o tym, co się stało – powiedział cicho.

– Jak się czuje Kell?

– Dobrze, dziękuję. Dochodzi do siebie po operacji.

A teraz przepraszam, spieszymy się.

– Moglibyśmy porozmawiać?

– Oczywiście – odparła. – Jeżeli przekonasz ich

– wskazała na swoich goryli – żeby mnie związali i zakneblowali.

Idziemy, chłopaki.

Weszła do windy. Stała przodem do lustra, tyłem do drzwi, dopóki te z cichym sykiem się nie zasunęły.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie była w stanie zasnąć. Zamartwiając się o Kella, odtwarzała w myślach wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Nie mogła sobie wybaczyć tego, co się stało. Gdyby nie straciła dla Franka głowy, gdyby nie oszalała na jego punkcie, gdyby nie ignorowała ostrzeżeń brata!

Szkoda, że nie można cofnąć czasu i wymazać wszystkich głupstw, jakie się popełniło. Na przykład po jakie licha zadała się z Bentleyem Rydelem? Zdziwiła się, widząc go w szpitalu. Ktoś musiał mu powiedzieć, co się wydarzyło, a jemu zrobiło się jej żal. Ale przyjazd do San Antonio wcale nie oznaczał, że Bentley zrozumiał swój błąd lub że pragnie się z nią znów spotykać. No i dobrze, bo ona na pewno nie chce już mieć z nim nic wspólnego.

Wstała z łóżka i włożyła na siebie to samo, co wczoraj. Nic innego nie zabrała z domu. Później zadzwoni do Keely i poprosi ją, aby spakowała kilka rzeczy dla niej i dla Kella. Nagle przyszło jej do głowy, że Frank może czekać na nią pod domem; lepiej, by Keely pojechała tam z policyjną obstawą.

Kiedy wyłoniła się z sypialni, jej dwaj towarzysze spierali się nad dzbankiem z kawą.

- Nie starczy dla trzech osób – oświadczył Pirat, nie puszczając dzbanka.
- Więc ty możesz sobie wypić kawę na dolewkawiarni
- rzekł chłodno Ponurak.
- Wszyscy napijemy się w szpitalu – poinformowała



ich Cappie, kierując się w stronę drzwi. – Idziemy.

– Widzisz? Musiałeś się kłócić? Przez ciebie żaden z nas nie wypije nawet łyka.

– To ty zacząłeś!

Ignorując sprzeczkę, Cappie nacisnęła klamkę.

– Stój! – Pirat błyskawicznie zasłonił sobą wyjście.

Zza zakrętu wyłonił się wysoki mężczyzna. Nie był to Frank Bartlett. Tuż za nim szła kobieta z dzieckiem.

– Ładna pogoda – rzekł z uśmiechem Pirat.

– Słucham? A tak, ładna. – Mężczyzna odwzajemnił uśmiech i oddalił się wraz z rodziną.

Pirat odsunął się na bok, przepuszczając Cappie.

– Nie wychodź pierwsza. Zawsze czekaj, aż któryś z nas sprawdzi drogę – powiedział łagodnie. – Faceci, którzy biją innych, nie bojąc się aresztowania, zazwyczaj nie mają zamiaru wrócić za kratki. Bartlett może uznać, że lepsza będzie kulka od pięści.

– Przepraszam, nie pomyślałam o tym.

– Odtego my tu jesteśmy – oznajmił drugi ochroniarz, zamykając drzwi. – Żeby myśleć za ciebie. Żeby przewidywać różne scenariusze.

– Czyli przed chwilą myślałeś? – spytał Pirat kolegę.

Ten wskazał na swój mankiet. W dłoni trzymał rękojeść noża. Zacisnął wokół niej palce. Ostrze wsunęło się na miejsce.

– Cyrus Parks mnie tego nauczył. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem.

– To co robisz u Eba?

- Uczę się... taktu i dyplomacji – odparł Ponurak.
- Podobno moje zachowanie pozostawia wiele do życzenia.
- Przestąpił z nogi na nogę. – No, w drogę.

W bufecie szpitalnym panował tłok. Przy jednym ze stolików siedział ze skwaszoną miną Bentley Rydel i przesuwając po talerzu jajka sadzone, jakby nie mógł zdecydować, czy je zjeść, czy wywalić do kosza.

Na jego widok serce Cappie zabiło mocniej, starała się jednak nie okazywać radości. Wciąż była wściekła, że uwierzył obcemu facetowi i wyrzucił ją ze swojego życia.

Podniósłszy wzrok, Bentley skrzywił się.

– Chcesz, żebym go przeszukał? – zaproponował Cappie Pirat. – Mogę to zrobić bardzo dyskretnie.

– Tak dyskretnie jak tego gościa na lotnisku? – mruknął Ponurak. – Zdaje się, że podał cię do sądu?

– Przeprosiłem go.

– Zanim zjawili się wezwani przez niego strażnicy czy w ich obecności?

– W ich obecności – przyznał Pirat. – Ale gość powiedział, że rozumie, dlaczego wziąłem go za terrorystę.

– Namięłość boską! Miał na sobie koszulę hawajską wzory, a na nogach klapki!

– To najlepsze szpiegowskie przebranie. Kto jak kto, ale ja to wiem. Wkońcu mieszkałem na Fidżi.

– Serio? – spytała Cappie. – Marzę o tym, żeby tam pojechać.

– Tak? – Pirat popatrzył nad jej ramieniem na Bentleya, który ruszył w ich kierunku. – To nie powinnaś zwlekać.

Bentley miał podkrążone oczy; przypuszczalnie też spędził bezsenność noc.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – rzekł do Cappie.  
Nie miała ochoty. Korciło ją, by powtórzyć to, co powiedziała wczoraj przy windzie. Ale ugryzła się w język.  
Była zmęczona, zestresowana, bała się Franka. Zresztą co jej szkodzi porozmawiać? Nie zamierzała wracać do Jacobsville. Zostaną z Kellem w San Antonio.

– Wporządku – mruknęła znużonym tonem, po czym zwróciła się do ochroniarzy. – Za dwie minuty do was przyjdę. Napijcie się kawy.

– No, nareszcie – ucieszył się Pirat. – Już zacząłem mieć objawy odstawienia...

– To dlatego tak obrzydliwie wyglądasz?  
Odeszli, jak zwykle się drocząc.

– Co to za jedni? – spytał Bentley, prowadząc Cappie do swojego stolika.

– Moi ochroniarze. Od Eba Scotta.

– Kawy?

– Chętnie.

Podszedł do lady, kupił kawę i drożdżówkę.

– Musisz jeść – powiedział, kiedy otworzyła usta, by się sprzeciwić. – Wiem, że lubisz drożdżówki. Czasem przynosiłaś je do kliniki.  
Wzruszyła ramionami.

– Wporządku, dziękuję.

Przesunął w jej stronę cukier i śmietankę.

– Dzwoniłam do dyżurki pielęgniarek – rzekła. – Powiedziały, że Kell bierze kąpiel, potem dostanie śniadanie, więc mam parę minut na kawę.

– Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem. Króciutko.

Uniosła zdziwiona brwi.

– Tylko rodzina ma prawo do odwiedzin. Taka informacja widnieje na kartce przypiętej do drzwi.

– Wiem. Powiedziałem pielęgniarce, że jestem jego szwagrem.

Posłała mu gniewne spojrzenie.

– No i wpuściły mnie.

Cappie dołała śmietanki, po czym przysunęła kubek do ust i przymknęła oczy, napawając się cudownym aromatem.

– Odnosił się do mnie równie przyjaźnie jak ty. – Bentley westchnął ciężko. – Zachowałem się jak kretyn.

– Kretyn do kwadratu.

Odepchnął na bok talerz z zimnymi jajkami. Nie odrywał oczu od jej twarzy.

– Po tym, co mnie spotkało, przez długi czas unikałem kobiet. Kiedy wreszcie pokonałem swoje lęki i jednej zaufałem, okazało się, że jej bardziej zależy na moich pieniądzach niż na mnie. – Zacisnął zęby. – Kto się na zimnym sparzył, ten... ten po prostu staje się ostrożny. Nie znałem cię, Cappie. Kilka razy zjedliśmy razem kolację, potem wybraliśmy się na festyn, ale właściwie nic nas nie łączyło.

Cappie jadła w milczeniu i w zadumie. Wydawało jej się, że jednak coś ich zaczyna łączyć. Ale najwyraźniej się myliła.

Bentley wziął głęboki oddech.

– Może powoli stawaliśmy się sobie bliscy – przyznał.

– Ale zaufanie nie jest czymś, co przychodzi mi łatwo.

Odstawiwszy kubek, popatrzyła mu w oczy.

– Myślisz, że mnie przychodzi łatwo? – spytała. –

Frank mnie pobił. Złamał mi rękę. Trzy dni spędziłam w szpitalu. Na procesie jego obrońca usiłował przekonać sąd, że specjalnie Franka prowokowałam, a potem odmówiłam pójścia z nim do łóżka. Jakby odmowa seksu usprawiedliwiała atak.

– Nie spałaś z nim?

Oczy jej zalsniły.

– Nie. Moim zdaniem ludzie najpierw powinni się pobrać, a dopiero potem uprawiać seks.

Na twarzy Bentleya odmalował się wyraz zaskoczenia.

Cappie zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Wyznaję staromodne zasady – szepnęła. – Kell i ja wychowywaliśmy się w bardzo religijnym domu.

– Nie musisz się tłumaczyć – przerwał jej Bentley.

– Wcale nie próbuję. Po prostu usiłuję ci powiedzieć, że mam idealistyczny pogląd na sprawy małżeństwa.

Frank uważał, że jestem mu winna seks, bo zaprosił mnie na kolację. No i wściekł się, kiedy nie chciałam pójść z nim do łóżka. A dla ścisłości, wcale go nie prowokowałam.

Pobił mnie, bo ośmieliłam się zasugerować, że nie powinien tyle pić. To wystarczyło. Kell ledwo zdążył mi na ratunek.

Bentley wciągnął głęboko powietrze.

– Wkrótce po ich ślubie mój ojczym uderzył moją mamę za to, że przypaliła bekon. Miałem wtedy piętnaście lat.

– Co zrobiła?

– Poskarżyła mi się. Wywołałem ojczyma na dwór.

Przez dobre pięć minut popychałem go, szturchałem, kopałem.

Zagroziłem, że jeśli jeszcze raz podniesie rękę na mamę, załaduję strzelbę i odbędziemy kolejną rozmowę, tyle że znacznie krótszą. Nigdy więcej jej nie uderzył.

Wdodatku przestał pić.

– Wątpię, aby Frank wystraszył się takiej groźby.

– Też wątpię. – Przyglądał się jej zmęczonej twarzy.

– Przeszłaś piekło, a ja jeszcze dołożyłem ci od siebie.

Przepraszam, Cappie. Wiem, że słowa nie wymażą mojej winy, ale... przepraszam.

– Dziękuję. – Dokończyła drożdżówkę, wypła ostatni łyk kawy, następnie wyjęła z torebki dwa banknoty jednodolarowe i położyła je przed Bentleyem.

– Nie! – zawołał, czerwieniąc się na wspomnienie oskarżeń, jakie rzucił pod jej adresem.

– Bez względu na to, co o mnie myślisz, zawsze sama za siebie płacę – rzekła z dumą i wstała od stolika. – Pieniądze niewiele dla mnie znaczą. Są mi potrzebne tylko po to, żebym mogła płacić rachunki. Przykro mi, jeśli odniosłeś inne wrażenie.

Obróciwszy się na pięcie, odeszła, zostawiając go samego. Brutalne i niesprawiedliwe słowa, jakie wypowiedział podczas ich ostatniej rozmowy w klinice, wciąż dźwięczały mu w głowie.

Kell leżał na brzuchu, blady i osłabiony po operacji. Siniaki na jego ciele przybrały bardziej intensywnej barwę. Cappie usiadła obok na krześle i uśmiechnęła się.

– Jak się czujesz? – spytała łagodnie.

– Kiepsko. Boli jak diabli. Ale lekarze sądzą, że będę znów chodził. Na razie mogę poruszać palcami. – Wyszczерzył usta w uśmiechu.

– To dobrze. – Odgarnęła mu włosy z twarzy.

– Wczoraj zjrzał do mnie twój były szef. Nagadałem mu do słuchu! Facet ma potworne wyrzuty sumienia.

– Na niewiele się zdadzą. Nie zapomnę, co powiedział. Że uwierzył Frankowi, a nie mnie.

– Zdaje się, że też dostał od życia po głowie.

– Tak, to tłumaczy jego zachowanie, ale go nie usprawiedliwia. Kell spojrzał ponad ramieniem siostry na drzwi.

– Przydzielono ci ochroniarzy?

- Tak. Chłopaków Eba Scotta. Chyba nie przepadają za sobą.
- Chet zawsze ma pretensje do wszystkich i wszystkiego, a Rourke lubi się z niego nabijać.
- Rourke to...
- ...ten bez oka.
- A, Pirat.
- Kell roześmiał się i natychmiast skrzywił z bólu.
- Tak sam siebie nazywa. Ciekawy człowiek. Przez kilka lat pracował dla CIA na Południowym Pacyfiku. Chce tam wrócić, to znaczy do CIA. Na razie zdobywa doświadczenie u Eba. Z kolei Chet stara się o pracę w firmie ochroniarskiej strzegącej ambasad. Niestety ma pewną ułomność.
- Ułomność?
- Wali, jak ktoś go zezłości. Brak panowania nad sobą nie jest cechą pożądaną u osoby chroniącej ambasadę.
- Fakt. – Cappie zmarszczyła czoło. – Skąd ich znasz?
- To długa historia. Kiedyś o tym pogadamy.
- Zamyśliła się. Coraz więcej rzeczy ją dziwiło.
- Kell, kiedy wyjechałeś do Afryki, nie pracowałeś dla żadnej gazety, prawda?
- Zawahał się.
- Między innymi o tym porozmawiamy. Ale nie teraz, dobrze?
- Uległa. Niech dojdzie do siebie po operacji.
- Dobrze. – Położyła rękę na jego ramieniu. – Jesteś moim bratem i bardzo cię kocham. To się nie zmieni, nawet jeśli latami mnie okłamywałeś, licząc na to, że nigdy nie poznam prawdy.
- Na zanik inteligencji to ty nie cierpisz.
- A żebyś wiedział.
- Nie oddalaj się od ochroniarzy, Cap – poprosił siostrę.

- Frank naprawdę nie planuje powrotu do więzienia. Zrobi wszystko, żeby wymierzyć ci karę, choćby miał przy tym zginąć.
- Wiem – mruknęła.
- Obiecuj mi, że będziesz ostrożna.
- Obiecuję. A ty zdrowiej. Nie chcę cię stracić.
- Uśmiechnął się.
- Oto się nie bój. Nie zamierzam wykitować, przecież muszę skończyć książkę.
- Kell... – Na moment zamilkła. – Frank tu nie przyjdzie, co? Do szpitala? Nie będzie próbował dokończyć tego, co mu nie wyszło w Jacobsville?
- Nawet gdyby przyszedł, to natknie się na mojego kumpla.
- Jakiego kumpla?
- Przepuście mnie, wojaki! – rozległ się za drzwiami niski, męski głos. Po chwili do pokoju wszedł, niosąc styropianowy kubek z kawą, wysoki, znajomo wyglądający mężczyzna o szarych oczach i kruczoczarnych włosach, ubrany w dżinsy, kozaki i koszulę w kratkę.
- Kilraven? – spytała zaskoczona Cappie. – Pan nie jest w pracy?
- Potrząsnął głową.
- Wziąłem zaległy urlop i postanowiłem zabawić się w babysittera.
- Cudownie! – Uśmiechnęła się szeroko.
- Wcale nie robię tego bezinteresownie – przyznał z chytrym uśmiechem. – Utknąłem w środku pewnej gry, a Kell potrafi sobie z nią poradzić.
- Chodzi o „Halo: ODST”? – spytał Rourke. – Udało mi się wygrać.
- Pewnie na najłatwiejszym poziomie – wtrącił Chet.
- Na średnim, jeśli chcesz wiedzieć.



– A ja wygrałem na najtrudniejszym – oznajmił Kell.  
– No dobra, chłopaki. Strzeżcie mojej siostry jak oka w głowie, w przeciwnym razie... – zawiesił głos.  
Pirat zasalutował, Chet wzruszył ramionami.  
– Do zobaczenia, braciszku. – Pochyliwszy się, Cappie pocałowała brata w policzek.  
– Dokąd się wybierasz?  
– Na rozmowę w sprawie pracy. Może szef Brendy zatrudni mnie na pół etatu.  
– Na pewno chcesz wrócić do San Antonio?  
– Tak – skłamała.  
– Dobra. To trzymam kciuki.  
– Dzięki. Panu też dziękuję, Kilraven.  
– Tylko do nikogo nie strzelaj.  
– Niech im pan to powie. – Wskazała na swoich dwóch towarzyszy. – Ja nienawidzę broni.  
Skinąwszy na pożegnanie głową, wyszła na korytarz.  
Rourke z Chetem ruszyli za nią.  
Przy windzie natknęli się na Bentleya.  
– Dokąd to?  
Zawahała się.  
– Na rozmowę w sprawie pracy – odpowiedział za nią Rourke.  
– Nie możesz odejść z kliniki! Jeszcze nie mam nikogo na twoje miejsce!  
– To twój problem – warknęła Cappie. – Ani dnia dłużej nie zamierzam tam pracować.  
Spuścił wzrok.  
– Zresztą jak tylko Kell wyzdrowieje, przenosimy się z powrotem do San Antonio.  
Bentley milczał. Jego twarz przybrała posępny wyraz.  
– A ty? Nie powinieneś być teraz w pracy?

– Doktor King mnie zastępuje – odparł.  
– Długo cię tak będzie zastępować?  
Oczy mu zalśniły.  
– Dopóki nie przekonam cię, żebyś wróciła do domu.  
Tam, gdzie jest twoje miejsce.  
– Och, przestań. – Wyminęła go i wsiadła do windy.  
Nawet nie spojrzała, czy winda jedzie do góry, czy na dół.  
Było jej wszystko jedno.  
Staławkabinie między dwoma brzuchatymi mężczyznami  
i dwiema kobietami, które wylały na siebie po flakonie  
perfum. Zaczęła kasłać, zanim jeszcze kobiety wysiadły.  
Grubasy wysiadły dwa piętra wyżej. Dopiero wtedy  
winda ruszyła na dół.  
– Czy to nie była upojna przejażdżka? – rzekł z błogim  
uśmiechem Rourke, wciągając nosem powietrze. – Uwielbiam  
perfumy.  
– Mnie się po nich kręci w głowie – mruknął Chet.  
– A mną wstrząsa kaszel – powiedziała Cattie.  
– Najwyraźniej nie kochacie kobiet tak jak ja.  
Łypnęli na Rourke’a gniewnym wzrokiem. Rozłożył  
ręce, jakby mówił: co ja na to poradzę?  
Winda zatrzymała się na wprost bufetu. Drzwi rozsunęły  
się. Do środka, ze skwaszoną miną, wsiadł Bentley.  
Cattie usiłowała zniechęcić go spojrzeniem. Nie pomogło.  
Wcisnął przycisk „Parter”.  
– Dokąd się wybierasz? – spytała Cattie.  
– Tam, gdzie ty. Może przyda im się jeszcze jeden  
weterynarz.  
– To znaczy, że nie wyjdiesz za mnie? – spytał żalonym  
tonem Rourke.  
Bentley wytrzeszczył oczy.  
– Chcesz za niego wyjść za mąż?

– Za nikogo nie wychodzę! – burknęła Cappie.  
– Za mnie byś mogła. – Bentley przestąpił nerwowo z nogi na nogę. – Mam porządny zawód i nie noszę broni  
– dodał, spoglądając na kaburę wystającą spod kurtki Rourke’a.  
– Też mam porządny zawód – stwierdził jednooki ochroniarz. – A umiejętność posługiwania się bronią bywa przydatna.  
– Dyplomaci uważają inaczej – mruknął Chet.  
– Dopóki ich nie uratujesz, gdy ktoś zacznie do nich strzelać.  
Chet rozpogodził się.  
– Słusznie, nie pomyślałem o tym.  
– Idziemy – rozkazała Cappie, gdy winda zatrzymała się na parterze. – Czuję się, jakbym prowadziła na spacer bandę przedszkolaków.  
– Ma ktoś lizaka? – Rourke zwrócił się z pytaniem do ludzi wsiadających do windy.  
Cappie pociągnęła go za rękaw.  
Do przychodni weterynaryjnej pojechali taksówką.  
Waucie panował ścisk. Mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę o grach. Cappie przez chwilę się przysłuchiwała, ale odpadła, kiedy jeden przez drugiego zaczęli omawiać różne nowości znalezione w internecie, które pozwalały na dokonywanie rzeczy niemożliwych.  
– To znaczy, że z pomocą granatów ręcznych można rozwalać Skorpiony? – spytała zdziwiona.  
– Czemu nie? – Rourke wzruszył ramionami.  
– Tylko najpierw trzeba zabić swoich kumpli, żeby zdobyć granaty – zauważył Chet. – To nieetyczne.  
– I to mówi gość, który ukradł gliniarzowi z bagażnika karabin na pociski gumowe! – zirytował się Rourke.

– Nie ukradłem. Pożyczyłem sobie. Wszyscy mieli wielkie spluwy, a ja...

– Właśnie. Chodziło ci wyłącznie o rozmiar.

Chet dźgnął go w bok.

– Do jasnej cholery...

– Dlatego trudno ci dostać pracę u dyplomatów – rzekł Rourke, udając, że masuje obolały bok.

– Dziwię się, że ktokolwiek chce was zatrudnić – powiedziała Cappie. – Powinniście popracować nad ogładą towarzyską.

– Próbuję, ale ty nie chcesz za mnie wyjść.

– Pewnie, że nie chce. Bo wyjdzie za mnie – oświadczył pewnym siebie tonem Bentley.

– Nie wyjdę! – zezłościła się Cappie.

– Miałyby poślubić weterynarza, kiedy mogłaby mieć za męża fascynującego szpiega?

– Znasz takiego? – spytał Bentley.

– Potrafię być fascynujący, kiedy mi na tym zależy

– odszczeknął się Rourke. – I kiedyś pracowałem dla CIA.

– Tak, ale czy zamiatanie podłóg to prawdziwa praca?

– spytał Chet.

– No właśnie, tak czy nie? – chciał wiedzieć Rourke.

– Czyż nie to robiłeś w Manili?

– Byłem ochroniarzem prezydenta!

– Czy ten biedak przypadkiem nie wylądował w szpitalu?

– Jesteśmy na miejscu! – oznajmiła głośno Cappie.

– Dzielimy rachunek na cztery. Nie mam zamiaru nikomu fundować przejażdżki.

Zapłaciła za siebie i wysiadła. Trzej mężczyźni pośpiesznie wyciągnęli z kieszeni banknoty i ruszyli za nią.

Weszła do przychodni. W recepcji wciąż siedziała Kate

Snow, wysoka dwudziestoczteroletnia brunetka o zielonych oczach i ładnej uśmiechniętej twarzy.

– Cześć, Cappie – przywitała dawną koleżankę. – Odwiedzasz stare kąty?

– Prawdę mówiąc, liczę, że dostanę tu pół etatu.

– Tak, Brenda mi o tym wspominała, ale jej nie uwierzyłam. Niedawno przeniosłaś się do Jacobsville.

– Postanowiłam wrócić do San Antonio.

– Dobra, zadzwonię do Lammersa. – Wcisnęła przycisk, następnie powiedziała coś cicho do słuchawki, skinęła głową i rozłączyła się. – Na razie jest zajęty, ale wkrótce do ciebie wyjdzie. A panom można w czymś pomóc? – Popatrzyła pytająco na trzech mężczyzn.

– Ja jestem z nią – rzekł Rourke, wskazując na Cappie.

– Ja też – zawtórował mu Chet.

– A ja chętnie bym się tu zatrudnił – odparł Bentley.

– Pomyślałem sobie, że może przydałby wam się jeszcze jeden weterynarz.

– Kim pan jest? – zdumiała się Kate.

– To mój były szef – wyjaśniła Cappie.

– Doktor Rydel? Przecież w Jacobsville ma pan własną klinikę.

– Owszem, ale jeśli Cappie przeprowadzi się do San Antonio, to ja również.

– Może my też – oznajmił Rourke. – I chętnie bym się tu zatrudnił. Umiem pisać na maszynie.

– Kłamie – mruknął Chet. – Wcale nie umie.

– Ale mogę się nauczyć.

– Jedyne, co potrafisz, to strzelać do ludzi.

– To... to wbrew prawu nosić przy sobie ukrytą broń

– powiedziała nerwowo Kate.

Rourke obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

– Jestem zawodowym ochroniarzem. Mam pozwolenie na broń. Jeśli chce je pani zobaczyć, to zapraszam na kawę do uroczej francuskiej kawiarenki w centrum. Tam wszystko pani pokażę.

Kate popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Pewien facet dybie na życie Cappie – wyjaśnił Chet.

– Jeśli się tylko do niej zbliży, pojmiemy go i przekazemy w ręce policji.

– Ktoś dy...dybie na twoje życie? – wydukała Kate.

Cappie posłała mężczyznom wściekłe spojrzenie.

– Wielkie dzięki. Teraz to na pewno wszyscy będą chcieli mnie zatrudnić.

Rourke wykonał przed nią ukłon, Chet mruknął coś pod nosem, Bentley zaś uśmiechnął się szeroko.

– Ja chętnie przyjmę cię do pracy – oznajmił. – Tych dwóch damy psiej fryzjerce do pomocy. We trzech cię ochronimy.

– Nikogo nie będę strzygł – oznajmił zdecydowanym tonem Chet.

– W porządku. Możesz się zajmować opryskliwymi klientami.

Chet skinął z zadowoleniem głową.

– Mnie zabiegi toaletowe nie przeszkadzają – stwierdził Rourke. – Kiedyś ogoliłem małpę.

Cappie pacnęła go w ramię.

– O, już jesteś! – zawołała Brenda, wyłaniając się w zielonym fartuchu z laboratorium. – Słuchaj, rozmawiałam z doktorem Lammersem; powiedział, że mamy nadmiar pracowników. Strasznie mi przykro...

– Gdzie pani mieszka? – spytał Bentley. – Chciałbym wysłać pani bukiet kwiatów.

– Co? – zdziwił się Chet. – Myślałem, że chcesz się ożenić z nią. – Wskazał palcem na Cappie.

Brenda skierowała na niego spojrzenie.

– Kim pan jest?

– Jestem płatnym...

– ...zabójcą – dokończył na niego Rourke.

– Nie zabijam ludzi! Tylko do nich strzelam.

– A ja tylko ich ranię. To co, zostajemy czy wracamy do Jacobsville?

– Kim oni są? – powtórzyła Brenda.

– Ci dwaj to moi ochroniarze – odparła Cappie. – A trzeci to mój były szef.

– A co tu robi twój były szef?

– Też chciał się tu zatrudnić, ale skoro macie nadmiar personelu, nie pozostaje nam nic innego, jak wrócić do Jacobsville – powiedziała smętnie Cappie. – Chyba że Frank mnie zabije.

– Nikt cię nie zabije – zapewnił ją Rourke.

– Potwierdzam – oznajmił Chet.

Brenda uśmiechnęła się do obu.

– Dzięki. To moja najlepsza kumpelka.

Cappie uścisnęła przyjaciółkę.

– Szkoda, że nie wyszło. Trudno. Odezwę się wkrótce.

Pa, Kate!

Machając na pożegnanie, Kate odebrała dzwoniący telefon.

Rourke posłał jej zabójczy uśmiech.

– Idziemy – zakomenderowała Cappie.

Brenda odprowadziła ich do drzwi.

– Co z Kellem?

– Już jest po operacji, ale dopiero za kilka dni okaże się, czy będzie chodził.

– Jeśli wracasz do domu, mogę zaglądać do szpitala

– zaoferowała przyjaciółka.

– Wrócę, jak znajdziemy Franka.

Brenda popatrzyła na Bentleya, który szczyrzył zęby.

- A pan...?
  - Wróć, jak znajdziemy Franka.
  - Nie jesteś jej ochroniarzem – wytknął mu Chet.
  - Jestem. Sam się nim mianowałem. – Powiódł wzrokiem po Cappie. – I będę nim do końca.
- Była zła, że jego słowa sprawiły jej tak dużą przyjemność. Próbując ukryć rumieniec, który wypłynął na jej policzki, ponownie uściśnęła Brendę.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bentley pojechał z nimi do hotelu. Podczas gdy Cappie z ochroniarzami ruszyła na górę, on skierował się do recepcji.

Udało mu się wynająć pokój na tym samym piętrze.

Zadowolony wrócił do swojego poprzedniego hotelu, spakował rzeczy i wymeldował się.

– Wspaniale – mruknęła Cappie, zamknawszy drzwi.

– Wszędzie będziemy się przemieszczać w czwórkę.

– Facet cię lubi – zauważył Rourke. – A nam się przyda każda para oczu. Może Rydel dojrzy coś, co my byśmy przegapili. Bądź co bądź wie, jak Frank wygląda; myśmy widzieli go tylko na zdjęciu, które ci pokazałem, a ty powiedziałaś, że w ogóle siebie na tej fotografii nie przypomina.

– Wporządku. – Cappie podeszła do okna i popatrzyła na ruchliwą ulicę. – Przynajmniej Kell jest w dobrych rękach. Na miejscu Franka nie chciałabym natknąć się na Kilravena.

– Swoją drogą to dziwne. Usiłowaliśmy się dowiedzieć, dla kogo on naprawdę pracuje. Jego brat dla FBI, lecz Kilraven...

Obejrzała się przez ramię.

– Może dla CIA?

– Diabli wiedzą; nic z niego nie można wyciągnąć.

Adla twojej informacji, adresy agencji wposzczególnych miastach nigdzie nie figurują. Nawet nazwy tych miast pozostają tajemnicą.

– Nie za dużo tych tajemnic?

Rourke uśmiechnął się.

– Temu zawdzięczamy nasze sukcesy.

– Nasze? – zapytała.  
– Nie powiedziałem, że jestem jednym z nich.  
– Nie powiedziałaś, że nie jesteś.  
Skrzywił się.  
– Ja przynajmniej nie muszę nic ukrywać. Wszyscy wiedzą, czym się zajmuję – oświadczył Chet.  
Oboje popatrzyli na niego zdumieni.  
– No co? Jestem ochroniarzem!  
– Ja też. Na razie – rzekł Rourke. – Ale to nie jest mój zawód. I nie jest to coś, czym ty się na stałe zajmujesz.  
Chet odwrócił wzrok.  
– A czym on się na stałe zajmuje? – zaintrygowała się Cappie.  
– Czymś, co ma związek z dalekonośną bronią i tajnymi akcjami.  
– Nieprawda.  
– Dobrze. Z czymś, co miało związek...  
– Po tym, jak złamałem nogę, przestało mnie bawić wyskakiwanie ze śmigłowców.  
– Słyszałem, że złamałeś obie.  
Chet westchnął.  
– I rękę. Nawet gdy ma się najlepszą opiekę medyczną, złamania nigdy się nie zrastają tak, jak powinny. –  
Znow westchnął. – A kiedy się przebywa w... – Urwał.  
– Nie zamierzałem nic mówić – rzekł Rourke.  
– I dobrze. – Chet poklepał się po kieszeni. – Skończyły mi się fajki. Zejdę na dół; jeśli policja nie kręci się w pobliżu, może ktoś mi sprzeda paczkę.

- Przecież palenie nie jest zakazane? – zdziwiła się Cappie.
- Dziś jeszcze nie, ale jutro? Kto wie? Człowiek już nawet splunąć nie może bez specjalnego pozwolenia – wymamrotał Chet i opuścił pokój.
- Powiedzmi! Szybko! – Cappie zwróciła się do Rourke’a.
- Naprawdę był zamachowcem?
- Nie wiem. Ale przyjaźni się z Cashem Grierem.
- To coś znaczy?
- W młodości Grier był zamachowcem na usługach rządu, ale ja ci tego nie powiedziałem. Dla własnego dobra o pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć.
- No, no, kto by pomyślał?
- Słuchaj, zejść na dół. Rozejrzę się trochę. A ty zamknij drzwi i nikomu nie otwieraj. Chyba że usłyszysz mój głos lub Cheta. Rozumiesz?

Skinęła głową.

Nie potrafiła utrzymać nerwów na wodzy. Powinna była sobie z nimi radzić, zwłaszcza że miała do swojej dyspozycji dwóch silnych ochroniarzy, ale ciągle stawał jej przed oczami obraz Franka obrzucającego ją stekiem wyzwisk po tym, jak sędzia ogłosił wyrok skazujący. Darł się na całe gardło, poprzysięgając zemstę. Niemal udało mu się wyrwać zastępcy szeryfa, który prowadził go w kajdankach. Był to dość przerażający moment. Niemal równie przerażający jak wspomnienie tamtej nocy, gdy ją pobił.

Zacisnęła wokół siebie ramiona i przymknęła oczy.

Miała nadzieję, że policjanci go złapią, zanim on ją dopadnie.

Za to, co zrobił Kellowi, znów trafi za kratki.

Ale co będzie później, kiedy wyjdzie? Czy do końca swoich dni będzie żyła w strachu? Bo przecież po najdłuższej

odsiadce Frank znajdzie się na wolności. Zresztą różne rzeczy mogą się zdarzyć. Na skutek braku jednomyślności wśród członków ławy przysięgłych sędzia może unieważnić proces. Frank może zwać z więzienia, a wtedy co z nią? Ma się ukrywać, ciągle patrzeć za siebie...? Rozległo się pukanie. Przerażona krzyknęła. Wolno podeszła do drzwi, ale nawet nie dotknęła klamki.

– Kto tam?

– Służba hotelowa. Sprawdzamy, czy dostarczono pani zamówionego weterynarza.

Wybuchnęła śmiechem. Znała ten głos równie dobrze jak własny.

– Bentley! Nie przypominam sobie, abym kogokolwiek zamawiała.

– Nie szkodzi. Postanowiliśmy go dostarczyć na wypadek, gdyby później pani żałowała, że nie złożyła zamówienia. Otworzyła drzwi i pokręciła głową.

– Służba hotelowa?

– Jestem zdesperowany. Nie wpuściłabyś mnie, gdybym zwyczajnie poprosił. – Zajrzał wgląd pokoju i zmarszczył czoło. – Gdzie twoi goryle?

– Chet wyszedł po papierosy, a Rourke wypatruje w holu podejrzanych typów.

– I zostawili cię samą?

– Drzwi były zamknięte, dopóki ty się nie pojawiłeś.

– Nodobra. Chcesz pójść ze mną na dół na kawę i ciastko? A potem możemy wpaść do Kella.

– Chętnie. Ale muszę zawiadomić Rourke'a...

– On już wie – oznajmił z rozbawieniem głos dochodzący mniej więcej z okolicy krzesła.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała Cappie, zaglądając do torebki.

- Ukryłem mikrofon. Na wypadek, gdybyś postanowiła dać dyla.
  - Schodzę na dół na kawę i ciastko, a potem wybieram się z Bentleyem do Kella.
  - W porządku. Ja jeszcze się tu pokręcę. Aha, tylko nie rozbij Rydelowi kubka na głowie. Pamiętaj, że idziecie później do szpitala.
  - To najlepszy moment, żeby mu przywalić – mruknęła Cappie. –Wszpitalu jest mnóstwo lekarzy. Znajdzie się jakiś, który opatrzy ranę.
  - Zwłaszcza gdy się dowie, że ranny też jest lekarzem
  - powiedział do torebki Bentley.
  - Jesteś weterynarzem.
  - Ale rany umiem opatrywać.
  - Lepiej, żebyś nie musiał. Uważaj na tę złośnicę.
  - Och, przestań – zirytowała się Cappie. Ale nikt jej nie odpowiedział. – Halo? Jesteś tam? – Zajrzała do torebki.
  - Nie rób tego w miejscu publicznym – poprosił ją Bentley, kiedy ruszyli do drzwi. – Wśród lekarzy w szpitalu pewnie są też psychiatrzy.
- Przewróciła oczami i wyszła na korytarz.
- Szpitalny bufet pękał wszwach. Z trudem znaleźli stolik, ale musieli się nim dzielić z małżeństwem, które przyjechało znaną granicę meksykańską, by odwiedzić córkę i nowo narodzoną wnuczkę. Starsi państwo mieli z sobą mnóstwo zdjęć; wszystkie kolejno pokazywali Bentley'owi i Cappie, a ci między jednym kęsem a drugim czynili stosowne uwagi.
- W końcu małżonkowie dopili sok i pożegnawszy się, skręcili do windy.
- Uff, wreszcie sami.

– Przy następnym chyba zaczęłabym krzyczeć. Przysięgam, jeśli kiedykolwiek doczekam się wnuka...

– To będziesz miała jeszcze więcej zdjęć niż ci staruszkowie i też będziesz je wszystkim pokazywać.

Uśmiechnęła się.

– Pewnie tak.

– Dzieciaki są fajne. Marzyłem o tym, żeby mieć jedno lub dwoje...

– Już nie marzysz?

Zaczął bawić się kubkiem, przesuwając go po blacie.

– Przestałem. A kiedy poznałem ciebie, znów zacząłem.

– Mówiąc to, nie patrzył na nią.

Przeniknął ją dreszcz.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Utkwił wzrokiem jej twarzy. – Nie powinienem był uwierzyć wani jedno słowo tego faceta, który przyszedł do mojego gabinetu i opowiedział mi o tobie bzdury. Ale... po prostu bałem się; wydawałaś mi się zbyt idealna.

– Nikt nie jest idealny.

– Wiem. Rzecz w tym... nie chcę się zakochać, a potem znów dostać cios w serce.

– Nie wymierzam ciosów – oznajmiła cicho.

Zmrużył oczy.

– On cię skrzywdził.

– Owszem. Sądziłam, że go kocham. Sprawiał wrażenie dobrego i troskliwego człowieka, ale już na pierwszej randce kopnął mojego kota. To powinno było dać mi do myślenia. Dobrzy ludzie nie kopią zwierząt. Później się dowiedziałam, że był agresywny wobec dwóch innych kobiet, z którymi się spotykał, ale one bały się zgłosić to na policji. – Uśmiechnęła się smutno. – Też się bałam, ale Kell nalegał. Wy tłumaczył mi, że jeśli nie wniosę oskar-

zenia, to prędzej czy później Frank kogoś zabije. I do końca życia nie pozbędę się wyrzutów sumienia. Nie przyszło mi jednak do głowy, że osobą, która może zginąć z rąk Franka, będę ja sama. – Zakryła dłońmi twarz. – To się nigdy nie skończy. Nawet jeśli dojdzie do ponownego procesu, Frank może się wywinąć. Może wyjść wcześniej za dobre sprawowanie, może uciec z więzienia... Nigdy się od niego nie uwolnię.

– Nie mów tak – zaprotestował Bentley. – Nie pozwolę, żeby Frank kiedykolwiek więcej się do ciebie zbliżył.

Opuściła ręce. Wyglądała o dziesięć lat starzej.

– A jeśli zaatakuje ciebie? Jeśli cię zabije? Każdy, z kim się zadaje, będzie celem. Całkiem nieświadomie mogłam narazić Brendę na niebezpieczeństwo.

– Nie boję się tej gnidy. Tobie też nie wolno się go bać. On właśnie tak kontroluje kobiety: wzbudzając w nich strach.

Przygryzła wargę.

– Po prostu się boję...

– Wiem, ale postąpiłaś słusznie. I znów tak postąpisz, jeśli kiedykolwiek zajdzie potrzeba. Jesteś mądra i odważna, nie chowasz głowy w piasek.

– Tak myślisz?

– Nie myślę. Wiem.

Przez chwilę patrzyła mu głęboko w oczy.

– Z początku obawiałam się ciebie. Potem miałam ten wypadek, a ty odwiozłeś mnie do domu. – Uśmiechnęła się. – Przekonałam się, że nie jesteś tak straszny, jak mi się wydawało.

– Miło mi.

– Nodobra. – Podjęła decyzję. – Jeżeli Frank wywinie się od kary, poproszę Rourke'a, żeby wywiózł go za

morze i zostawił samego w środku gęstej dżungli. Tak by nigdy się z niej nie wydostał.

– Najmocniej przepraszam – odezwał się głos z torebki.

– Ale nie porywam obywateli amerykańskich i nie wywożę w niecnym celu do żadnej dżungli.

– Szkoda.

– Ale znam ludzi, którzy chętnie to zrobią – dodał rozbawionym tonem Rourke.

– Dzięki, dobry człowieku – odrzekł Bentley.

– Dlaczego nie chcesz wyjść za niego za męża? – spytał głos. – Przynajmniej dopilnowałby, żeby nic złego ci się nie stało.

– Piracie, podaj mi numer swojego szefa – Bentley zwrócił się z uśmiechem do torebki. – Należy ci się podwyżka.

– Dzięki, stary.

– Drobiazg. – Bentley urwał, nagle bowiem spostrzegł, jak trzy osoby zatrzymały się w pół kroku i patrzyły z rozdziawionymi ustami na torebkę Cappie. –

No, wreszcie udało mi się wyłączyć to cholerne radio – oznajmił głośno.

Gapie zamknęli usta i szurając nogami, pośpiesznie opuścili bufet.

Cappie wybuchnęła gromkim śmiechem. Policzki Bentleya przybrały kolor purpurowy.

– Znakomity refleks – pochwalił przez radio Rourke.

– Może zatrudniłbyś się u nas?

– A sio! – mruknęła Cappie. – Wtedy na pewno nie wyszłabym za niego za męża.

– No dobra, już przestaję mleć jęzorem.

Kell leżał błądliwie, milcząco, z zamkniętymi oczami.

Przypuszczalnie środki przeciwbólowe, które otrzymał



zaraz po operacji, przestały działać. Nie chcąc go męczyć, Cappie z Bentleyem ograniczyli wizytę do dwóch lub trzech minut. Zanim doszli do drzwi, Kell ponownie zasnął.

– Jak myślisz, możemy wyjść na powietrze? – spytała

Cappie. – Na ulicy jest pełno ludzi, Frank chyba nie zaatakuje?

– Nie wiem – odparł Bentley.

– Rourke, możemy?

Cisza. Cappie rozejrzała się wkoło. Nigdzie nie widziała żadnego ze swoich dwóch ochroniarzy. Poczula się nieswojo. Towarzyszyli jej na każdym kroku, odkąd przyjechała do San Antonio.

– Chodźmy – zdecydowała. – Chcę na moment rozprostować nogi.

– Dobrze, ale nie oddalaj się ode mnie. – Bentley ścisnął jej dłoń.

Uśmiechnęła się i oparła głowę na jego ramieniu.

– Obiecuję.

Wyszli na chłodne nocne powietrze. Ulicą przejeżdżały samochody, chodnikami wędrowali ludzie. Na rogu, oparty o szybę sklepu, stał policjant z telefonem komórkowym przy uchu. Nieopodal dwaj biznesmeni w garniturach dyskutowali zawzięcie, nie zwracając uwagi na mijających ich przechodniów. Jaskrawe neony i migoczące światełka rozjaśniały mrok.

– Już prawie święta – zdziwiła się Cappie. – Straciłam rachubę czasu. No cóż... – Wzruszyła ramionami. – W tym roku nie będzie choinki.

– Postawimy drzewko u Kella w pokoju – obiecał

Bentley. – Przewieziemy z Jacobsville prezenty i tu sobie urządzimy święta.

– Urządzimy? My? – Popatrzyła mu w oczy.

– Nie zostawię cię samej – odparł. – Nawet na jeden dzień.

Łzy wezbrały jej pod powiekami. W jego głosie była tkliwość i żar. Nie musiał nic więcej dopowiadać. Wszystko mogła wyczytać z jego twarzy.

Wziął ją w ramiona i przytulił mocno do piersi.

– Wyjdź za mnie – szepnął, muskając wargami jej długie jedwabiste włosy.

– Dobrze. Tak!

– Ale wybrałem miejsce na oświadczyzny – powiedział ze śmiechem. – Na środku chodnika, na oczach setek ludzi.

– To nie ma znaczenia.

Przyznał jej w duchu rację.

– Bierz go! A ja ją!

Brutalne głosy wytrąciły Cappie ze stanu błogości. Jeszcze pół sekundy temu była odprężona, szczęśliwa, a teraz...

Oszłomiona, przez chwilę nie rozumiała, co się dzieje. Poczowała, jak ktoś odrywa ją od Bentleya. Dwóch mężczyzn wykręciło jej ręce do tyłu, potem jeden zacisnął dłonie na jej ramionach i obrócił ją przodem do siebie.

Zobaczyła wykrzywioną z wściekłości twarz Franka; z jego zmrużonych oczu wyzierało pragnienie zemsty.

– Wreszcie cię mam! – syknął. – Zapłacisz za to, co mi zrobiłaś!

Krzyknęła przerażona. Usiłowała się oswobodzić, ale Frank był silniejszy. Po chwili uderzył ją mocno w twarz. Cappie zachwiała się i pewnie by upadła, gdyby Frank drugą ręką nie szarpnął jej ku sobie.

Policzek ją piekł: wkrótce przybierze siny kolor. Tym się akurat nie przejmowała. Ogarnięta furją cofnęła nogę i z całej siły wbiła obcas w pizczel Franka. Zawył z bólu i ponownie wymierzył jej policzek. Zanim zdołał cokolwiek więcej zrobić, ktoś powalił go na ziemię.

– Świetnie! Brawo! – rozległ się głos zagrzewający do walki.

– Dowal skurwielowi! – zawołał drugi głos.

Bentley bezlitośnie łomotał pięściami Franka Bartletta, nie zważając na jego jęki.

– Zdolny ten nasz weterynarz – pochwalił Rourke, odciągając na bok drżącą ze zdenerwowania Cappie. Kiedy ujrzał jej posiniaczoną twarz, aż się skrzywił. – Przepraszam, że wcześniej nie wkroczyliśmy do akcji, ale chcieliśmy mieć wokół dostateczną ilość świadków, żeby drań nie wywinął się nam podczas procesu. – Wskazał na Cheta i dwóch mężczyzn w garniturach, którzy zajęli się koleżkami Franka.

Ci stali ze zwieszonymi głowami, zakuci w kajdany.

Pilnował ich policjant, który wcześniej rozmawiał na rogu przez telefon.

– Mieliśmy cię cały czas na oku – powiedział Rourke.

– Gdyby można było to inaczej rozegrać, na pewno byśmy tak zrobili.

Cappie pogładziła swojego jednookiego stróża po twarzy.

– Spisałeś się fantastycznie, Piracie. – Rozciągnęła usta w uśmiechu, po czym syknęła z bólu. – Obawiam się, że przez kilka dni będę wyglądała jak ofiara wypadku drogowego.

– No, niestety.

Obejrzała się przez ramię. Frank wciąż leżał na ziemi, broniąc się przed ciosami rozwścieczonego Bentleya.

– Nie trzeba ratować Bentleya?

– Ratować? – zdziwił się ochroniarz.

– Przed oskarżeniem o zabójstwo – wyjaśniła Cappie.

– A, faktycznie, może powinienem.

Cofnął się parę kroków i odciągnął Bentleya od

Franka. Wymagało to sporego wysiłku, gdyż Bentley bardzo nie chciał zrezygnować z tak przyjemnej rozrywki.

– Już dobrze, starczy – rzekł uspokajającym tonem Rourke. – Mamy dość dowodów i świadków, żeby skurwiel trafił za kratki. Poza tym Cappie przydałoby się trochę czułości. Dziewczyna jest mocno posiniaczona.

Bentley przeszedł zasapany do Cappie. Na widok jej twarzy wciągnął z sykiem powietrze.

– Moja mała – szepnął i schyliwszy się, delikatnie pocałował jej policzek. – Poczekaj moment. Muszę tam wrócić i jeszcze mu przyłożyć...

– Nie! – Chwyliła go za płaszcz. – Rourke dobrze mówi. Mamy dość dowodów, aby wnieść sprawę do sądu. Bentley, byłeś wspaniały!

– Ty też, kiedy kopnęłaś go w łydkę. – Pokręcił z uznaniem głową.

– Tworzymy całkiem zgrany zespół.

– Bardzo zgrany.

Cappie przyłożyła rękę do twarzy.

– Ale piecze.

– Wygląda koszmarnie. Chyba lepiej będzie, jak lekarz to obejrzy.

– Na szczęście w budynku obok jest ich pod dostatkiem – oznajmił Rourke, podchodząc bliżej. – Widzisz ten napis? Literki układają się w słowo SZPITAL.

Cappie pogroziła mu palcem. Pirat rozłożył ręce, jakby się poddawał.

– Noprzecież jestem po twojej stronie. – Skinąłw kierunku wystrojonego w elegancki garnitur mężczyzny z długimi czarnymi włosami uczesanymi w koński ogon.

– Poznajesz go?

Zmarszczyła czoło.

– Nie.

– To detektyw Rick Marquez. Wybierał się do opery, kiedy zadzwoniliśmy z informacją, że Bartlett napadł na ciebie przed szpitalem. Przyjechał tu, łamiąc wszystkie ograniczenia szybkości.

– To miło.

– E tam. Zawsze chadza do opery samotnie. Kobiety trzymają się od niego na dystans.

– Dlaczego? – zdumiała się Cappie. – Jest taki przystojny...

– Nosi przy sobie broń.

– Ty też nosisz broń.

– I też żadna mnie nie chce.

– Współczuję.

Postąpił krok bliżej.

– Jestem wolny.

Roześmiała się wesoło, bo w tym momencie Bentley z groźną miną otoczył ją ramieniem.

– Co ja wygaduję! Wcale nie jestem wolny – sprostował szybko Rourke.

– Nawet gdybyś był, to ona nie jest – oznajmił groźnie Bentley.

– Rourke, znów chcesz namieszać? – spytał ze śmiechem Rick Marquez, dołączywszy do rozmawiającej trójki.

Nagle spostrzegł posiniaczoną twarz Cappie. –

O Chryste. Przykro mi, że nie dotarłem wcześniej. Pokonałem całą drogę biegiem, bo nie mogłem złapać taksówki.

– Tylko ci pozazdrościć kondycji – rzekł Rourke.

– Co tu robicie? Ty i Billings?

– Eb Scott prosił nas o drobną przysługę. Jesteśmy ochroniarzami. Araczej byliśmy, dopóki nie przyskrzyniliście tych trzech koleśi.

- Słuchaj, możesz powiedzieć Chetowi, że tu nie wolno palić?
- A sam nie możesz? – zdziwił się Rourke.
- Wolałbym nie – odparł ze śmiechem detektyw.
- Mam w mieszkaniu duże okna. Łatwo przez nie trafić w cel.
- Dobra, powiem mu. Ale nie musisz się niczego obawiać. Chet nie ma pozwolenia na broń.
- Chwilowo.
- Rourke wzruszył ramionami i oddalił się.
- Spisali się znakomicie – powiedziała Cappie, chwając swoich ochroniarzy. – Nigdy nie czułam się tak bezpieczna. Nie licząc kilku ostatnich minut...
- Pozwoliliśmy pani wejść w pułapkę – przyznał cicho Marquez. – Tylko tak mogliśmy być pewni, że Bartlett nam nie umknie. Tacy jak on nigdy się nie poddają.
- Ale on znów odsiedzi chwilę i wyjdzie...
- Chwilę? Na pewno nie. Widzi pani tego gościa? Tego, z którym wcześniej rozmawiałem? To zastępca prokuratora, ten sam, który wcześniej wsadził Franka za kratki.
- Wydawało mi się, że skądś go znam.
- Był wściekły, kiedy sędzia orzekł tak niską karę. Dlatego zaczął zbierać pisemne oświadczenia od poszkodowanych kobiet. Na wypadek, gdyby Frankowi znów puściły nerwy. – Marquez uśmiechnął się pod nosem.
- I puściły! Przy świadkach. – Wskazał ręką na policjantów w mundurach. Dwaj kolejni, którzy doszli chwilę później, przepytywali przechodniów. – Frank Bartlett wróci do pudła na długie lata.
- A jego kumple?
- Pomogli mu pobić pani brata. Oczywiście nie mamy dowodów, ale podejrzewam, że wkrótce jeden z nich zacznie śpiewać, aby tylko dostać niższy wyrok.

– Tymczasem my – Bentley objął Cappie w pasie – zorganizujemy sobie święta w szpitalu, a potem zaczniemy planować ślub.

– Ślub? – Marquez westchnął ciężko. – Kiedyś marzyłem o tym, żeby poznać miłą dziewczynę, która lubi gliniarzy i operę i która zechce mnie poślubić. Ale w sumie cieszę się, że nie zmieniłem stanu cywilnego. Mam mnóstwo wolnego czasu, mogę oglądać te programy w telewizji, na które mam ochotę, i jeść mrożonki. Uwielbiam je. Chyba mógłbym wystąpić w reklamie mrożonek.

– Zdaje się, że w tym szpitalu mają psychiatrów, prawda?

– zapytał Bentley.

Marquez zmierzył go gniewnym wzrokiem.

– Jestem szczęśliwy! Lubię mieszkać sam! Nie chcę, żeby do wszystkiego wtrącała mi się wspaniała kochająca żona, która potrafi pysznie gotować!

– Ma tu ktoś kaftan bezpieczeństwa? – Bentley rozejrzał się wokoło.

Marquez pokręcił z rezygnacją głową i odszedł.

Cappie miała wrażenie, że twarz jej pulsuje. Łzy zapiekły ją pod powiekami.

– Możemy wejść do budynku i poszukać lekarza dyżurnego?

– Oczywiście, chodź.

Marquez ruszył za nimi do środka.

– Mam przysobie aparat cyfrowy – oznajmił, ponownie wcielając się w rolę detektywa. – Zrobimy kilka zdjęć, żeby pokazać ławie przysięgłych, do czego Frank jest zdolny.

– Niech pan pstryka. Ale potem chcę aspirynę i zimny kompres.

– Dobrze, czyli dziś zdjęcia i lekarz. A jutro proszę wpaść na komendę i złożyć zeznania. – Na moment zamilkł.

– Później mogę pani nawet kupić piwo.

– Wolałabym kompres.

– Trzeba coś wymyślić, żeby Kell nie widział cięwtakim stanie – oświadczył Bentley. – Przynajmniej dopóki nie dojdzie do siebie po operacji.

– Nie będzie to łatwe – szepnęła Cappie.

Marquez przyznał jej w duchu rację. Sińce pogłębiały się zminuty na minutę. Dziewczyna jeszcze się nie domyślała, jak jutro będzie wyglądać. On już to wiedział.

Wykonano jej w szpitalu prześwietlenie. Marquez wrócił ze zdjęciami do komendy, a do Cappie i Bentleya, którzy czekali na wyniki, przyszedł lekarz.

– Ma pani dwie złamane kości – oznajmił. – Proszę dać klisze swojemu lekarzowi rodzinnemu i prosić go, aby skierował panią do dobrego chirurga plastycznego. Zapiszę pani środki przeciwbólowe. Na opuchliznę pomoże zimny kompres. Niestety, leku na sińce nie wymyślono.

– Zerknął podejrzliwie na siedzącego obok mężczyznę.

– To nie moja robota – oznajmił Bentley. – Drania, który jej to zrobił, zabrała policja. Zostanie oskarżony o pobicie. Kopia prześwietlenia, o którą prosiliśmy, pomoże wsadzić go za kratki.

Młody lekarz skinął głową.

– Zatem to sprawka narzeczonego?

– Byłego chłopaka – odparła z westchnieniem Cappie

– który spędził pół roku w więzieniu za złamanie mi ręki.

Potem wyszedł i uznał, że trzeba się zemścić. Mam nadzieję, że tym razem posiedzi znacznie dłużej.

– Jeśli prokurator zechce mnie na świadka, mogę chętnie zeznawać. – Wyjął z portfela wizytówkę i wręczył ją

Cappie. – To się często zdarza, taki brutal szukający zemsty.

Kilka tygodni temu trafiła do nas pobita kobieta, która zmarła na skutek odniesionych ran.



Cappie pociemniało przed oczami. Bentley objął ją troskliwie.

– Ty nie umrzesz.

Położyła głowę na jego ramieniu. Kilka minut później zapłacili rachunek i ze zdjęciem rentgenowskim w ręku opuścili oddział nagłych wypadków.

– Chcesz odwiedzić Kella? – spytał Bentley.

Potrząsnęła głową i skrzywiła się z bólu.

– Nie, chcę się położyć. Źle się czuję. Pójdiesz jutro ze mną do komendy?

– Nie żartuj! Oczywiście, że tak.

– Dziękuję.

Otoczył ją mocniej ramieniem.

– Wracajmy do hotelu. To był ciężki dzień.

– Oj, ciężki.

Ale przynajmniej nie musi się dłużej obawiać o swoje życie. Jutro zajmie się różnymi drobiazgami. Jutro też opowie Kellowi o tym, co dziś miało miejsce.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz rano, kiedy wstała z łóżka, aż jęknęła na widok swojego odbicia w lustrze. Połowę twarzy miała spuchniętą, w kolorze dojrzałej śliwki.

– No, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

Słyszając głos z drugiego pokoju, uśmiechnęła się. Bentley uparł się, że przenocuje na kanapie. Rourke z Chetem właśnie skończyli się pakować; wracali do Jacobsville.

Ona z Bentleyem zamierzała zostać ze dwa dni dłużej, wpaść do komendy, złożyć zeznania, odwiedzić Kella.

– Nieźle – odparła. – Tylko niedobrze mi się robi, jak na siebie patrzę.

– Chet doskonale zna to uczucie! – zawołał Rourke, przystając w drzwiach pokoju, który dzielili.

– Zamknij się, kretynie.

– O, właśnie dlatego nie możesz pracować w dyplomacji.

– Odechciało mi się – warknął Chet. – Wracam do firmy. Niech mnie wyślą, gdzie chcą. W długą samotną misję. Tak, żebym nikomu nie musiał kłaniać się w pas!

– I gdzie mógłbyś kopcić jak komin – dodał Rourke.

– Konieczność dzielenia z tobą pokoju byłaby dostateczną karą dla każdego przestępcy. Stary, ty cuchniesz papierosami!

– Dym papierosowy bywa bardzo przydatny.

– Akurat!

– Jeżeli gość, którego śledzisz, jest palaczem, możesz go wyczuć z odległości pięciuset metrów – oznajmił Chet z uśmiechem.

Rourke'owi opadła szczeka. Jeszcze nigdy nie widział uśmiechniętego Cheta.

– Wszystkiego dobrego – powiedział Chet do Cappie,

która wyłoniła się z sypialni ubrana w puszysty szlafrok. Na widok jej twarzy aż zacisnął zęby. – Za tydzień, góra dwa nie będzie śladu po tych sińcach – zapewnił ją. Próbowała się uśmiechnąć, ale to było zbyt bolesne.

– Dzięki za ochronę, Chet.

– Drobiazg. Do zobaczenia u Scotta, Rourke.

– Poczekaj! – zawołał jego towarzysz. – Podzielimy się kosztami taksówki do Jacobsville. – Pirat chwycił torbę, uściskał dłoń Bentleya i delikatnie pocałował Cappie w zdrowy policzek. – Daj znać, jeśli on cię kiedykolwiek zostawi. Odnajdę go i dostarczę pod drzwi – powiedział teatralnym szeptem.

– Dzięki, Rourke. Ale chyba nie zostawi.

– Na pewno nie! – zagrział Bentley.

Odprowadzili ochroniarzy do drzwi i pomachali im na pożegnanie.

Detektyw Marquez zajmował mały gabinet w dużym budynku komendy, w którym panował ogromny gwar i ruch. Ciągłe drzwi się otwierały, ktoś wchodził, wychodził, telefony się urywały.

– Zupełnie jak w filmach policyjnych – stwierdziła Cappie.

– Gorzej – rzekł ze śmiechem Marquez. – Nawet nie można w spokoju napisać raportu. – Wstał od biurka i podał jej wydruk. – Niech pani sprawdzi, czy wszystko się

zgadza. – Wyjął z drukarki kolejne kartki. – Proszę, a to dla pana, doktorze Rydel.

Oboje w skupieniu przeczytali swoje oświadczenia, w dwóch lub trzech miejscach coś poprawili. Marquez naniósł poprawki wkomputerze i wydrukował poprawiony tekst. Podpisali.

– Wyobrażam sobie wściekłość Franka – powiedziała Cattie.

– Oj, piekli się, piekli, ale tym razem ława przysięgłych nie nabierze się, że to on jest stroną pokrzywdzoną.

– Pewnie sędzia ma wyrzuty sumienia, że poprzednim razem potraktowano go tak łagodnie – mruknął Bentley.

– I sędzia, i zastępca prokuratora okręgowego. Kiedy się dowiedzieli, że Frank ze swoimi kumplami pobił człowieka na wózku, całą policję w San Antonio postawili w stan pogotowia.

– Serio?

– Zastępca prokuratora grał pierwsze skrzypce.

– W nagrodę ktoś powinien mu zafundować pyszny lunch – stwierdziła Cattie.

– Właśnie go zaprosiłem do knajpki mojej matki w Jacobsville

– przyznał z chytrym uśmieszkiem detektyw.

– Oczywiście on jest stanu wolnego, podobnie jak moja mama.

– Aha, bawi się pan w swatkę?

– Pewnie, że tak. Pracowaliśmy razem przy wielusprawach. To porządny gość.

– Zgadza się – przytaknęła Cattie. – A Frank... Nie ma ryzyka, żeby odpowiadał z wolnej stopy?

Detektyw pokręcił przecząco głową.

– Prokurator ustalił wysoką kaucję. Kilkaset tysięcy dolarów. Nie sądzę, aby ktoś wpłacił za Franka taką sumę.

– Miejmy nadzieję, że nikt taki się nie znajdzie – rzekł Bentley.

Marquez zmierzył go uważnym wzrokiem.

– Pewnie będzie wolał czekać na proceswarezście niż ryzykować kolejne spotkanie z panem. Niezły skok pan wykonał. Jak zawodowy rugbista.

Bentley wzruszył ramionami.

– Grałem w uniwersyteckiej drużynie rugby.

– No proszę. A ja grałem w nogę. Nie powalałem przeciwników na ziemię, za to umiem odbić głową piłkę na odległość połowy boiska.

– Dlatego sprawia wrażenie lekko zwichrowanej? – spytał głos przy drzwiach.

– Kilraven, długo mi będziesz deptał po piętach?

– mruknął Marquez.

– Nie depczę. Czekam, kiedy raczysz odpowiedzieć na moje dziesięć telefonów, sześć wiadomości na pocztę głosowej i dwadzieścia mejli.

Marquez przycisnął rękę do serca.

– Dobra. Jak tylko skończę z panną Drake i doktorem Rydelem, będę do twojej dyspozycji. Słowo.

– Nie musisz się spieszyć. – Kilraven błysnął zębami w uśmiechu. – Ja sobie tu postoję i postraszę swoją gębą przestępców.

– Dzięki za opiekę nad Kellem – powiedziała Cappie.

– Od czego się ma przyjaciół?

– Jakich przyjaciół, Kilraven? Ty masz choć jednego?

– spytał przechodzący obok komendant.

– Mam ich całe mnóstwo!

– Tak? To wymień jednego.

– Marquez!

– Hej, Marquez, to twój kumpel? – Komendant wsunął głowę do gabinetu detektywa.

– Nie – odparł Marquez, po raz ostatni przebiegając wzrokiem po spisanych oświadczeniach.

– A właśnie, że tak – burknął Kilraven.

Marquez posłał mu taksujące spojrzenie. Kilraven wyszedł za drzwi, mrucząc coś w jakimś obcym języku.

– Wiem, co powiedziałaś – zawołał za nim Marquez.

– Twój brat mówi płynnie w farsy i nauczył mnie paru przekleństw.

Za drzwiami rozległ się potok słów w jeszcze innym języku.

– A to po jakiemu? – spytał detektyw.

Kilraven wsunął głowę do środka i wyszczerzył zęby.

– W języku Indian Lakota. Którego Jon cię nie nauczył, bo go nie zna. Ha! – Po chwili oddalił się korytarzem.

– On naprawdę jest bardzo miły – rzekła Cattie.

Marquez pochylił się nad jej uchem.

– Owszem, ale mu tego nie powiem. – Spoważniał.

– Pracujemy nad pewną nierozstrzygniętą sprawą, która go dotyczy. Mamy nowe poszlaki i Kilraven się niecierpliwi.

Bentley skinął głową.

– Słyszałem o tym. Jedna z moich pracownic jest żoną przyjaciela naszego szeryfa.

– Tak, to ponura sprawa. Ale mam nadzieję, że w końcu uda nam się ją rozwikłać.

Bentley wstał i podciągnął Cattie na nogi. Za każdym razem, gdy patrzył na jej twarz, robiło mu się niedobrze.

– Dzięki za kopie zdjęć rentgenowskich. – Marquez wyszedł ze swoimi gośćmi na korytarz. – Przyda się wszystko, co możemy wykorzystać przeciw Bartlettowi.

– Obyzgnął w więzieniu – powiedziała Cattie. – A jeśli wyjdzie, mój brat będzie na niego czekał.

Marquez pokręcił ze śmiechem głową.

– Gdyby ich nie było trzech, a pani brat nie poruszał

się na wózku, pewnie teraz broniłbym go przed oskarżeniem o zabójstwo.

– Nie wątpię – przytaknął Bentley.

Cappie zmarszczyła czoło.

– O zabójstwo?

Mężczyźni wymienili spojrzenie.

– Po prostu uważamy, że Kell miał prawo się zezłościć

– rzekł Bentley, ściskając jej dłoń. – A teraz chodźmy do niego i poinformujmy go, że wkrótce będzie miał szwagra.

Od rana Kell był w znacznie lepszym nastroju, przynajmniej dopóki nie zobaczył Cappie. Na jej widok z jego ust wypłynął stek przekleństw.

– Wiem, co czujesz – rzekł Bentley – ale na pocieszenie powiem ci, że Bartlett wygląda dużo gorzej. Dwóch policjantów musiało mnie z niego ściągać.

Twarz Kella rozpogodziła się.

– Super! Dzięki. – Po chwili znów spoważniał. – Przykro mi, siostrzyczko.

– Nic mi nie będzie. – Nie wspomniała o chirurgii plastycznej; po co brata denerwować? – Detektyw Marquez twierdzi, że Frank drogo zapłaci za swój wyczyn.

Spodziewa się, że jeden z jego współników obciąży go, licząc na złagodzenie kary. W każdym razie za pobicie ciebie i mnie Frank spędzi wiele lat za kratkami. – Na moment zamilkła. – Rozmawiałeś już z lekarzem?

– Tak. – Kell uśmiechnął się. – Jest optymistą, zwłaszcza odkąd odzyskałem czucie w nogach.

– Może przynajmniej z tej koszmarnej historii wyjdzie coś dobrego.

Kell nie słuchał siostry; wpatrywał się w Bentleya.

– Zanim przewieziono mnie do San Antonio, Cappie

oznajmiła, że nie chce mieszkać w mieście, w którym ty mieszkasz. Potem ty mi coś tłumaczyłeś, ale bez wdawania się w szczegóły. Mógłbyś teraz...

– Popełniłem kretyński błąd – przyznał Bentley. – Będę za niego przeproszał do końca życia. Ale Cappie i tak za mnie wyjdzie. – Obdarzył ją czułym uśmiechem, który odwzajemniła.

– Przestałam się na ciebie gniewać, kiedy tłukłeś Franka.

Popatrzył na swoje spuchnięte kłykcie.

– Podejrzewam, że zostanie mi po nim pewna drobna pamiątka.

– Pobieracie się? – spytał Kell.

– Tak. – Cappie przyłożyła dłoń do twarzy. – Ale dopiero kiedy odzyskam dawny wygląd.

– I kiedy będę mógł cię poprowadzić do ołtarza – dodał jej brat.

Bentley zmarszczył czoło.

– Mógłbym poprosić Cheta i Rourke’a, żeby cię ponieśli – zaoferował.

– Po ostatnim ślubie Chet spędził noc w pudle. Za wszczęcie awantury.

Cappie utkwiała wzrok w bracie.

– Wyjaśnij mi, proszę: jak dobrze znasz Rourke’a i Cheta?

Kell skrzywił się.

– Ojej, ale boli! Muszę odpocząć. Nie mogę teraz mówić.

Przeniosła spojrzenie na stojak z zawieszoną kroplówką.

– Myślałam, że dostajesz środek przeciwbólowy?

Kell zamknął oczy.

– Nie wiem, może, ale czuję się paskudnie. Lepiej już



idź. Wróc po południu, tylko nie zadawaj tylu pytań, bo mogę mieć nawrót bólu.

– No dobra. – Cappie westchnęła cicho.

Humor z miejsca mu się poprawił.

– Jak będziesz grzeczna, zdradzę ci, jak w „ODST” pokonać Myśliwych.

– Cash ci powiedział?

Roześmiał się, po czym wciągnął z sykiem powietrze.

Najmniejszy ruch sprawiał mu ból.

– Musiałem go przekupić.

– Czym?

– Pamiętasz ten film z Bette Davis, w którym ona morduje swojego kochanka, a potem od jego żony odkupuje napisany przez siebie list?

– Tak, to jeden z moich ulubionych filmów. I miał tytuł „List”. – Nagle urwała. – Chyba nie...

– Przecież nie oglądałaś go w kółko.

– Kell, jak mogłeś?

– Chcesz pokonać Myśliwych czy nie? – zapytał.

Westchnęła.

– Pewnie ten film jest gdzieś do kupienia.

– Kocham cię, siostrzyczko.

– Cappie, jeśli ci go kupię – do rozmowy wtrącił się Bentley – zdradzisz mi, jak pokonać Myśliwych?

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Dwa tygodnie później Kell, ubrany w piżamę, chwiejnym krokiem wędrował przez hol, podtrzymywany przez siostrę. Twarz Cappie nadal miała żółtawe zabarwienie, ale przynajmniej opuchlizna znikła. Kell natomiast był w doskonałej formie. Z pomocą rehabilitantów z miejscowego szpitala uczył się od nowa chodzić.

– Wolno mi to idzie...

- Nieprawda! – zaprotestował z drugiego pokoju Bentley. Po chwili rozległ się odgłos strzałów. – Ha! O jednego Myśliwego mniej!
- Jasne, ciesz się! – zawołała Cappie. – To nie ty musiałeś poświęcić swój ulubiony film!
- Kupiłem ci nowy. Tkwi w odtwarzaczu.
- Co z tego, skoro telewizor jest zajęty, bo ty cały dzień strzelasz do Myśliwych?
- Nie kłóć się z moim przyszłym szwagrem – skarcił siostrę Kell. – Mało który facet potrafi robić tak pyszne tortille.
- Zrobił je tylko po to, żeby ci się podlizać.
- No i osiągnął cel. To kiedy ten ślub?
- Za trzy tygodnie. Micah Steele twierdzi, że do tego czasu, podpierając się laską, bez trudu przejdziesz kościelną nawą. Jedynie mam nadzieję, że podczas uroczystości nie będzie żadnych pilnych wezwań do weterynarza.
- Przy ostatnich słowach podniosła głos.
- Prosiłem znajomego z San Antonio, żeby zastąpił mnie w klinice, dopóki nie wrócimy z Cancún. Wybrali to egzotyczne miejsce na podróż poślubną, ponieważ Cappie całe życie marzyła o tym, aby zobaczyć ruiny Chichen Itzy, prekolumbijskiego miasta założonego przez Majów.
- Lista gości stale rośnie. – Cappie westchnęła cicho.
- Wysłałam już ponad pięćdziesiąt zaproszeń.
- Wpisałaś na listę Marqueza i zastępcę prokuratora okręgowego?
- Tak. Również Cheta i Rourke’a.
- Kell jęknął.
- Pogadam z Chetem, żeby nie wszczynał awantur
- powiedziała Cappie. – Obaj troskliwie się mną opiekowali.

– Ale to ja pokonałem Franka! – zawołał z drugiego pokoju Bentley. – Swoją drogą, nie mieści mi się w głowie, że ten bezczelny skurwiol chciał mnie oskarżyć o napaść.

– Niczego nie osiągnie. Blake Kemp, zastępca prokuratora, odbył długą rozmowę z obrońcą Bartletta – oznajmił Kell.

– Po co? – zdziwiła się Cappie.

– Żeby poinformować go o pewnych moich koneksjach rodzinnych – wyjaśnił spokojnie Bentley, a po chwili krzyknął: – Ha! Kolejny Myśliwy nie żyje!

– O jakich koneksjach rodzinnych?

– Nie pytaj – szepnęła jej do ucha Kell. – Ważne jest to, że Frank nikogo o nic nie będzie oskarżał.

Cappie wciąż patrzyła w stronę pokoju, w którym Bentley grał.

– O jakich koneksjach rodzinnych? – powtórzyła.

– Gubernator to mój kuzyn. Ha! Jeszcze jeden!

– Gubernator stanu?

– Zgadza się. Ta gra jest świetna!

Wzdychając ciężko, Cappie uśmiechnęła się do brata.

– Może i jest świetna, ale na pewno nie pojedzie z nami w podróż poślubną.

– Nawet jeśli ci zdradzę, jak pokonać Myśliwych?

– zawołał Bentley.

– Nie kuś, bo ulegnę!

Podpierając się laską, Kell poprowadził siostrę do ołtarza. Malutki kościółek w Comanche Wells wypełniony był po brzegi. Narzeczeni zaprosili wyłącznie rodzinę i przyjaciół, ale i tak spora część gości musiała stać. Rozpromieniona Cappie szła środkiem nawy ubrana w białą suknię uszytą z setek metrów delikatnej koronki

oraz śliczny krótki welon; w ręce trzymała bukietik żółtych róż.

Dumna była ze swojego brata, z postępów, jakie poczynił. W ostatnich dniach wspomniawszy coś o nowej pracy w założonym przez Eba centrum dla oddziałów paramilitarnych. Dziwiła ją, że Kell tak dobrze zna pracowników Eba, ale o nic nie pytała. Była wdzięczna Ebowi za wypożyczenie Rourke'a i Cheta, którzy siedzieli w jednym z pierwszych rzędów wśród jej dawnych i obecnych współpracowników. Zauważyła Keely i Boone'a Sinclairów oraz siostrę Boone'a, Winnie, której nie spuszczał z oka elegancko ubrany Kilraven.

Przy ołtarzu Kell przekazał siostrę Bentleyowi, a sam cofnął się o krok. Na widok swojego przyszłego męża Cattie westchnęła błogo: ależ on jest przystojny! Po krótkiej i wzruszającej uroczystości pan młody uniósł welon i pocałował żonę tak czule, że ta z najwyższym trudem powściągnęła łzy. Następnie oboje skierowali się do wyjścia. Goście, którzy nie zmieścili się wkościele, czekali na zewnątrz z wiadrami ryżu i konfetti.

Razem pokroili tort weselny, potem pozowali do zdjęć, a następnie zatańczyli wolny romantyczny taniec. Kiedy utwór dobiegł końca, Cash Grier podszedł ze swoją piękną żoną do lidera zespołu i coś mu szepnął na ucho. Ten skinął głową i po chwili rozległo się żywiołowe wykonanie utworu Sinatry – „Brazil”.

Ale wbrew temu, co wszyscy sądzili, Cash nie ruszył na parkiet. Uśmiechając się szeroko, popatrzył na Bentleya.

– Można panią prosić? – spytał Bentley, uśmiechając się szelmowsko do żony.

– Ale... mówiłaś przecież, że nie umiesz tańczyć.

– Nie umiałem – odrzekł, wracając na parkiet. – Ale Cash dał mi kilka lekcji.

Okazał się pojętym uczniem; taniec, połączenie samby, cza-czy i mambo, nie sprawiał mu najmniejszych trudności. Stojący wokół ludzie klaskali zachwyceni.

– Tańczysz fantastycznie – rzekła zdyszana Cappie.

– Ty też, moja śliczna. Ty też!

Półtora dnia później powtórzyli te same słowa, lecz w nieco innej sytuacji. Leżeli zdyszani w wielkim małżeńskim łóżu w hotelu w Cancún.

– A ja cię chwaliłam za umiejętności taneczne! – powiedziała.

– Jesteś niesamowity!

– Dziękuję, moja śliczna. Czy mogę odwzajemnić ten komplement?

– Hm, nawet szybko się uczę, prawda?

– I już nie jesteś taka zdenerwowana jak na początku.

Wybuchnęła śmiechem. Kiedy przyjechali do hotelu, była kłębkim nerwów. Kochała Bentleya, ale bała się chwili, kiedy zostaną sami. Zamówili jedzenie do pokoju. Ona siedziała mu na kolanach, on karmił ją krewetkami. Był czuły, delikatny, wyrozumiały. „Karmił” ją również szampanem, co sprawiło, że z każdym łykiem czuła się coraz bardziej odprężona.

Nawet nie zorientowała się, kiedy zdjął z niej ubranie.

Po prostu w pewnym momencie poczuła na skórze ciepły powiew wiatru. Pocałunki stały się namiętne, podniecenie rosło. Zaskoczyło ją lekkie ukłucie bólu, lecz szybko o nim zapomniała, pochłonięta nowymi doznaniem, które przeniosły ją w inny świat.

– I pomyśleć, że cię wzięłam za człowieka chłodnego i pełnego rezerwy!

– Taki jestem w pracy. – Otworzywszy oczy, prze-

wrócił się na bok i powiódł spojrzeniem po jej nagim ciele. – Chciałabyś, żebym wstał, włożył fartuch lekarski i zamienił się w chłodnego rezerwistę?

– Nie, nie chciałabym. – Przyciągnęła go do siebie.

– Podobasz mi się jako namiętny kochanek.

– Tak? To chętnie znów się w niego przeistoczę – szepnęła, muskając wargami jej nabrzmiałe piersi.

Trzymając się za ręce, zwiedzali ruiny w Chichen Itzy: wzniesioną na piramidzie schodkowej świątynię Kukulkana, świątynię Wojowników i inne budowle.

– Kiedyś to musiało być tętniące życiem miasto – powiedziała z zadumą Cappie, rozglądając się wkoło.

– Nawet bardziej zatłoczone niż obecnie – dodał ze śmiechem Bentley, mając na myśli tłumy turystów.

Podał Cappie butelkę z wodą, po czym sam wypił łyk.

Podróż autobusem trwała wiele godzin; do hotelu wrócą dopiero po zmroku. Ale warto było tu przyjechać; oboje marzyli o zobaczeniu miejsca, które zostało uznane za jeden z nowych cudów świata.

Cappie wróciła do pracy w klinice weterynaryjnej. Skoro Keely, która była szczęśliwą bogatą mężatką, mogła pracować, to ona też może. Bentley nie protestował. Cieszył się, że przez cały dzień będzie miał ją blisko siebie.

Tydzień po ich powrocie z Cancún Keely spytała Cappie, czy nie wzięłaby kota.

– Mam sześć białych maluchów, którym muszę znaleźć dom. Cztery ulokowałam, ale zostały jeszcze dwa.

– Och, z przyjemnością!

– Czy Cyrus Park dzwonił w sprawie byka, który poharatał się o drut kolczasty? – spytał Bentley, zaglądając do pokoju.

- Tak. Powiedział, że jeśli w drodze do domu zajrzycie do nich, to poczęstują was chili con carne i chlebem kukurydzianym.
  - Mm, ślinka mi leci.
  - Mnie też – oznajmiła Cattie.
  - Powiedział też, żebyście przywieźli z sobą Kella.
  - Pojechał gdzieś z Rourke’em i Chetem. Znikają na całe dni, nikt nie wie gdzie. To mój rodzony brat. Mógłby mieć do mnie odrobinę zaufania, nie?
  - Domnie też – wtrącił Bentley. – Ale jak znam życie, pomagają Marquezowi. Detektyw wspomniał, że potrzebuje ochotników do pewnej sprawy, nad którą pracuje wspólnie z zastępcą prokuratora.
  - A my jesteśmy jego dłużnikami. Facet przekonał kumpli Franka, żeby złożyli zeznania. Twierdzi, że Frank opuści więzienie dopiero jako siwowłosy starzec. Chwilę później Bentley Rydel pogonił swoich pracowników do pracy.
  - Kto jest następny, Keely? – spytała Cattie.
  - Pani Anderson ze swoim chihuahua.
  - Cattie zajrzała do poczekalni i poprosiła uroczą staruszkę, aby zaprowadziła pieska do pokoju zabiegowego.
  - Doktor Rydel obejrzy jego łapkę...
  - Pan doktor to bardzo sympatyczny człowiek – oznajmiła staruszka. – Prawdziwa z ciebie szczęściara, kochanie.
  - Nowłásnie, kochanie! – zawołał Bentley. – Nie każda żona ma tak wszechstronnie utalentowanego i skromnego męża!
  - Wiem, najmilszy. Powiedz, jaki przygotować ci stek na kolację? Twardy jak podeszew czy spalony na węgiel?
- Nastała sekunda ciszy.

– Nie każdy mąż ma tak wszechstronnie utalentowaną i skromną żonę! – poprawił się po chwili Bentley.

Cappie roześmiała się wesoło.

– W nagrodę dostaniesz chrupiące, złociste frytki i duszoną wołowinę z warzywami – oznajmiła i mrugnęła porozumiewawczo do staruszki z pieskiem.